



MELINDA CROSS



***Legenda o
miłości***

Tytuł oryginału: Legend of Love



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Melanie Annabelle Brooks wyglądała przez okno budynku portu lotniczego w Tallahassee na Florydzie. Mały prywatny odrzutowiec lśnił w powietrzu falującym od gorąca, które buchało z płyty lotniska, mimo porannej pory. Melanie była dystygowaną, młodą kobietą, której wygląd dziwnie nie pasował do typowej poczekalni dla dyrektorów.

Długie jasne włosy, z przedziałkiem na środku głowy, okalały jej twarz i spływały swobodnie na ramiona. Wydawała się ideałem dawnej arystokracji Południa. Emanował z niej spokój i opanowanie, które daje poczucie przynależności do elity. Nawet w bezruchu była pełna gracji.

Jej pozorna pewność siebie i starannie wystudiowany sposób bycia powodował, że sprawiała wrażenie niedostępnej, jednakże w jej oczach można było dostrzec cień smutku i tęsknoty za czymś nieokreślonym. Jej bliscy nigdy go nie zauważali. Nie miała o to pretensji. Żyła w przekonaniu, że nikt się nikomu aż tak dokładnie nie przygląda. Ale chyba właśnie to było przyczyną jej samotności.

Uśmiechnęła się do swoich melancholijnych myśli i poruszyła ramionami, jakby spoczywał na nich ciężar, którego w ten sposób mogła się pozbyć. Stanowczo nie powinna poświęcać tyle czasu przygnębiającym rozważaniom. Nie dzisiaj. Czekala ją przecież przygoda. Nigdy żadnej nie przeżyła i taka perspektywa była bardzo podniecająca.

Ubrała się staranniej niż zwykle. Chciała wyglądać na samodzielną, niezależną kobietę. Włożyła elegancki, lniany kostium i białe szpilki z miękkiej włoskiej skóry. W rękę trzymała dobraną kolorem torebkę.

W poczekalni było jeszcze parę osób. Większość z nich zebrała się przy barze, skąd dochodziły odgłosy cichej rozmowy. Przez chwilę mogła spokojnie wyglądać przez okno i myślami bujać w obłokach.

Jej uwaga przeniosła się z samolotu na odbicie własnej twarzy w szybie. Zdaniem innych była nieskazitelnie piękna. Sama Melanie uważała, że jej urodzie brak zdecydowanego charakteru. Teraz promienie słońca tak rozświetlały jej twarz, że przypominała zjawę.

Ostatnio zresztą tak właśnie się czuła - jak niedokończony szkic kobiety. Nie lubiła tych momentów słabości. Życie było przecież dla niej bardzo łaskawe. Nie ma powodu do najmniejszego nawet niezadowolenia.

Zamknęła na chwilę oczy, by skoncentrować się na tym, co dobrego spotkało ją do tej pory. Jedynym bolesnym wydarzeniem była strata matki, która zmarła, zanim Melanie skończyła rok. Teraz miała dwadzieścia cztery lata. Przeżyła je beztrasko i radośnie.

Jej zamożna rodzina należała do starych rodów Południa. Melanie wychowała się na plantacji w Georgii pod opieką czulego ojca i gromady troskliwej służby. W zeszłym miesiącu, z rezygnacją i poczuciem beznadziejności, nareszcie zaręczyła się z Beauregardem Parkerem. Zaloty błyskotliwego kongresmena z Florydy trwały ponad rok.

Wszystko jak w bajce! Nie mogła opanować ironii, bo mimo dostatku i przywilejów czegoś brakowało w jej życiu, i to czegoś ważnego. Czasami odnosiła wrażenie, że wszystko zostało z góry zaplanowane równie drobiazgowo, jak trasa pociągu, do którego wsiada się na stacji początkowej, a wysiada na końcowej. O przystankach, niestety, decydował ktoś inny.

Zaręczyny z właściwym kandydatem na męża były jednym z tych przystanków. Wcześniej ukończyła odpowiednią szkołę i zachowywała się bez zarzutu. Podróżowała przez życie jak ubezwłasnowolniony pasażer.

Przestań - zgromiła się w duchu. Beau był wspaniałym mężczyzną. Każda kobieta z Południa z przyjemnością zajęłaby jej miejsce. Wyjdzie za niego za męża, będą mieli dzieci... Zniknie wtedy to dziwne uczucie, że czegoś jej brakuje.

Może zresztą po prostu potrzebowała jakiegoś konkretnego celu? Może znajdzie go właśnie w czasie tej podróży?

Znów skupiła wzrok na samolocie. Rozpierała ją duma. Beau wybrał ją, a nie któregoś ze swoich współpracowników. Miała go reprezentować i zebrać dane, które zostaną wykorzystane w jego pracy w Kongresie.

Podszedł do niej mężczyzna jakby żywcem wyjęty z żurnala. Jego bliskość zawsze ją dziwnie przytłaczała.

- Trochę za gorąco, prawda, kochanie? - szepnął Beau do jej ucha. Mówił wolno z melodyjnym, południowym akcentem. Przypomniała sobie gorące, przesycone zapachem magnolii wieczory, spędzone na ganku jej domu w Georgii.

- Prawdziwa dama z Południa nie odczuwa upału - oznajmiła z uśmiechem.

- Ależ ty właśnie jesteś ideałem damy. - Głos Beau był przepełniony zadowoleniem. Jednak jego oczy co chwila wędrowały w kierunku drzwi poczekalni. Z niecierpliwością wypatrywał dziennikarzy, od których w dużym stopniu zależała jego kariera. - Czytałaś plotki o sławnych ludziach w porannej gazecie? Nazwali narzeczoną Beauregarda Parkera chlubą Południa.

Melanie skrzywiła się. Powtarzał stare, oklepane określenie. Na dodatek chyba w ogóle na taki komplement nie zasługiwała. Był adresowany do kobiet z innej epoki, które w wydekoltowanych sukniach, o szerokich, szeleszczących spódnicach, zdawały się płynąć po marmurowych posadzkach swoich rezydencji. Podziwiała urodę jednej z nich, uwiecznionej na portrecie zdobiącym jej sypialnię.

- Nie istnieją już kobiety będące chlubą Południa, Beau.

- Nonsens! - Odwrócił wzrok od drzwi na tyle, by uśmiechnąć się do odbicia ich twarzy w szybie. - Popatrz tylko! Przysięgam, że nie wiem, które z nas jest bardziej urodziwe!

W samą porę zdusiła chichot. Chichotanie w miejscu publicznym było wysoce niestosowne, w szczególności dla narzeczonej popularnego przedstawiciela stanu Floryda. Należało śmiać się cichutko i nieśmiało. Mogła, a nawet powinna się uśmiechać, ale chichot był niedozwolony. Niestety, często za sprawą Beau miała ochotę do serdecznego śmiechu.

- Rywalizacja między nami w ogóle nie wchodzi w grę. - Zaciągała jak wszyscy południowcy, przez co jej głos brzmiał słodko i łagodnie. - Jesteś o wiele piękniejszy.

W szybie zobaczyła jego szeroki, zadowolony uśmiech i kolejny raz zadała sobie pytanie, czy wygrał wybory dzięki swoim poglądom, czy też dzięki urodzie. Przypominał dawnych arystokratów - wysoki, o brązowych, falujących włosach i orzechowych oczach, które rozjaśniały się, ilekroć pragnął kogoś oczarować.

Niestety, nigdy nie wiedziała, kiedy robił to z potrzeby serca, a kiedy dla siebie tylko znanych celów.

- To ty górujesz nad innymi, Mellie - szepnął. Jego oddech musnął jej włosy. - Każdy mężczyzna, który cię zobaczy, zazdrości mi... - Ktoś go zawołał i natychmiast odwrócił od niej wzrok. - Przepraszam, kochanie. Zaraz wrócę.

Bezmyślnie kiwnęła głową i nadal wpatrywała się w szybę. Wyobrażała sobie, że zamiast niewyraźnego zarysu swojej twarzy widzi kobietę, którą idealizowała od dzieciństwa; kobietę, której portret wisiał nad jej łóżkiem. Znalazła go na strychu prawie dwadzieścia lat temu.

Zapamiętała tę ponurą sobotę, kiedy monotony deszcz opłukiwał mięsiste, połyskliwe liście eukaliptusów, rosnących wzdłuż podjazdu. Stary rodzinny dom był zbyt wielki i smutny dla jedynaczki. Natomiast obszerny strych, zavalony pamiątkami po całych pokoleniach Brooksów, stanowił wyjątkowo miłą kryjówkę. Wszystkie te troskliwie przechowywane przedmioty, należące do przodków, dawały jej tak potrzebne poczucie ciągłości rodziny, bardzo ważne dla małej dziewczynki wstępującej bez matki.

Portret leżał w zakurzonej kątce, wepchnięty za stos pudeł. Natychmiast zawlokła swój skarb na dół, by pokazać go ojcu.

- Na Boga! Nie miałem pojęcia, że to tam jest - powiedział z niepewnym uśmiechem. - Wiesz, kim była ta kobieta? To moja praprababcia. Nosisz jej imiona, kochanie.

- Nazywam się tak, jak ta piękna pani?

- Owszem. Odziedziczyłaś chyba i jej urodę. - Oparł obraz o ścianę i odszedł parę kroków. Przyglądał mu się w zamyśleniu. - Wiesz, mówią, że była czarną owcą w rodzinie. Jej mąż wykreślił jej imię z Biblii. Nigdy mi nie powiedziano dlaczego...

- Co to znaczy czarna owca, tatusiu?

- To po prostu ktoś, kto jest trochę inny niż wszyscy, Mellie. -

Westchnął i wziął ją w ramiona.

- Czy ja też będę czarną owcą?

- O, nie... - Roześmiał się. - Ty będziesz moją małą, idealną panienką z Południa, prawda? Taką jak twoja mama.

Nie przypominała jednak swojej matki, delikatnej, potulnej kobiety z wyblakłych fotografii. Była podobna do pierwszej Melanii Annabelli Brooks, uznawanej przez rodzinę za czarną owcę.

Znów u jej boku pojawił się Beau i jak zwykle jego obecność wywołała w niej rozdrażnienie. Czy zawsze tak będzie?

- No, Mellie, już czas. Cieszysz się z tej małej eskapady?

- Tak. - Tym razem jej uśmiech był szczery. - Dziękuję, że mi zaufałeś. To dużo dla mnie znaczy.

- Nie przejmuj się tak, kochanie. Przecież nie wysyłam cię na negocjacje rozbrojeniowe. Jedziesz z wizytą kurtuazyjną, jak żony wielu polityków. Ponieważ za parę miesięcy zaczniesz występować w tej roli, pomyślałem sobie, że przyda ci się mała praktyka.

- Mówisz tak, jakbyś nie przywiązywał żadnej wagi do tego wyjazdu.

- Melanie zmarszczyła brwi.

- Ależ, Mellie... - Przytrzymał ją za ramiona i popatrzył na nią wzrokiem głęboko dotkniętego mężczyzny. - Czy w takim przypadku wynajęłbym odrzutowiec? Czy zwołałbym konferencję prasową?

Przekonywał ją z żarliwością małego, pełnego wdzięku chłopca. Melanie nie mogła opanować rozbawienia.

- Zwołałbyś konferencję, żeby ogłosić prognozę pogody na następny dzień, gdyby ci to było potrzebne - drażniła się z nim. - Jesteś politykiem w każdym calu, Beau. Nie próbuj udawać kogoś innego.

- Masz rację, poddaję się. Jednak ten wyjazd ma większe znaczenie, niż przypuszczasz, Mellie. Liczę na ciebie. Benjamin Cage to osobistość w tym stanie. Jego zaproszenie jest rozkazem. Każdy, kto nadal chce pełnić swoją funkcję, wysyła do niego swojego przedstawiciela.

Melanie westchnęła. Kręte drogi polityki były jej zupełnie obce, zagmatwane, trudne do rozszyfrowania i w pewnym sensie wzbudzające niesmak.

- To niesprawiedliwe, że jeden mały biznesmen ma tyle władzy...

- On jest wielkim biznesmenem, kochanie - poprawił ją. - Połowa kraju pije sok pomarańczowy z owoców zebranych w jego sadach. Kiedy usłyszał, że władze stanowe zamierzają obciąć budżet na finansowanie rezerwatu Everglades, na każdej butelce i kartonie umieszcza nalepkę „Ratuj Everglades”. Gdybyśmy zignorowali jego zaproszenie i nie pojechali zobaczyć na własne oczy, co tam się dzieje, mógłby skierować swoją kampanię przeciwko nam, rozumiesz?

- Ilu kongresmenów wysyła swoich przedstawicieli na tę wycieczkę?

- spytała zdegustowana. Beau nie dopatrywał się w tym niczego poza polityką. Jej zdaniem takie postępowanie było zwykłym szantażem.

- Skąd mam wiedzieć? - Wzruszył ramionami.

- Będiesz jednak najpiękniejszym gościem zwiedzającym rezerwat Cage'a.

- Jego rezerwat?!

- Mówi o nim w taki sposób, jakby był jego.

Melanie uniosła brwi z dezaprobatą. Rezerwat rozciągał się na olbrzymich obszarach południowej

Florydy. Obejmował trawiaste równiny i ciemne podmokłe lasy mangrowcowe. Jak bardzo arogancki musiał być człowiek, który śmiał mówić o tak rozległym terenie jak o swojej własności.

- Nie polubię go - oświadczyła z przekonaniem.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę, kochanie. - Wyraz jej twarzy wyraźnie go rozbawił. - Na dodatek ty i pan Cage pochodzicie z rodzin zajmujących skrajne szczeble w hierarchii społecznej. Wiem, że on musiał wspinać się pracowicie na sam szczyt i nie ma zbyt dobrego mniemania o tych, którzy tego nie robili.

Melanie zmarszczyła nos. Spotykała się z uprzedzeniami w stosunku do urodzonych w bogactwie i jej zdaniem było to równie krzywdzące jak uprzedzenia do urodzonych w biedzie. Ludzi należało oceniać na podstawie tego, co sami sobą reprezentowali. Benjamin Cage jawił się jej jako coraz bardziej niesympatyczne indywiduum.

- Jest też samotnikiem - ciągnął Beau. - Nie ma rodziny ani nie prowadzi życia towarzyskiego. Wygląda na to, że nie obchodzi go nikt ani nic, z wyjątkiem tego wielkiego bagna. Nie przyjmuje do wiadomości żadnych rozsądnych uwag na ten temat. Gdyby mu pozwolić, wpompowałby w ten las każdego dolara, uzyskanego z podatków w tym stanie. Ta wycieczka ma na celu przekonanie przedstawicieli władz ustawodawczych, że Everglades potrzebuje jeszcze więcej pieniędzy w przyszłym roku.

- Będę go słuchała uważnie i zrobię notatki z tego, co powie - oświadczyła z powagą, chcąc podkreślić swoje zaangażowanie. - Zbiorę

wszelkie dostępne informacje, żebyś mógł podjąć właściwą decyzję przy głosowaniu.

Roześmiał się i szybko rzucił okiem na drzwi wejściowe, zanim spojrział na nią.

- Kochanie, ja już wiem, jak będę głosował. Moi doradcy uważają, że pakowanie pieniędzy w te mokradła nie ma sensu i, szczerze mówiąc, podzielam ich zdanie.

- Już wiesz, jak będziesz głosował? - spytała.

Z roztargnieniem kiwnął głową.

- Wobec tego... dlaczego mnie tam wysyłasz?

- Zrozum... - zaczął, a w jego głosie dosłyszała nutkę zniecierpliwienia. - Nie chciałbym, aby pan Cage zarzucił mi, że nie wysłuchałem argumentów obu stron przed podjęciem decyzji. To byłoby nierozsądne, prawda?

- Ależ, Beau, przecież właśnie tak postąpiłeś!

- Uspokój się - przerwał. - Nie kłopotz swojej małej, pięknej główki tymi sprawami, kochanie. To po prostu polityka. Musisz tam pojechać i wyglądać na zainteresowaną, gdy Cage weźmie cię na wycieczkę. Może nawet wykorzystasz trochę swego słynnego uroku dam z Południa... Wtedy bezboleśnie przyjmie wiadomość, że głosowałem przeciwko niemu.

Przez chwilę Melanie wpatrywała się w narzeczonego z niedowierzaniem. Nie była zdolna do innej reakcji.

- Czy dlatego nie wydelegowałeś jednego ze swoich asystentów? - spytała w końcu szeptem. - Ponieważ ja mam więcej uroku niż jakiś krótkowzroczny urzędnik w trzyczęściowym garniturku?

Z ulgą spostrzegł zamieszanie przy drzwiach.

- Ojej! Wygląda na to, że dziennikarze znów nam przerwą. Przykro mi, Mellie. Będziemy musieli odłożyć naszą rozmowę na później. - Szybko uścisnął jej ramię i stanął twarzą do wchodzących. W jego szerokim uśmiechu nie zauważyła cienia skruchy.

Była zbyt dobrze wychowana i przygotowana do roli żony, aby zrobić scenę przy wszystkich reporterach i fotografach, którzy otoczyli ich w mgnieniu oka.

Po dziesięciu minutach pytań i zdjęć Beau uniósł dłoń w przeproszającym geście.

- Panie i panowie. Przykro mi, ale nie mam już więcej czasu...

- A może jeszcze mały pożegnalny pocałunek na pierwszą stronę gazety, panie kongresmenie!

- Ufam, że chodzi o pocałunek dla tej pięknej damy u mego boku, a nie dla pana - zażartował Beau, wywołując burzę serdecznego śmiechu. - W takim przypadku spełnię pana życzenie z przyjemnością.

Był to typowy, beznamiętny pocałunek, jakim zawsze obdarowywał ją przed kamerami. W głębi duszy nie cierpiała sztuczności takich sytuacji. Odnosiła wrażenie, że występuje w charakterze rekwizytu na scenie, a nie miłości jego życia, za którą uchodziła.

- Wolałbym inaczej - szepnęła, czując jej rozczarowanie. - Nie mogę robić tego, co chcę, przy ludziach.

Zamarła na chwilę w jego ramionach. Uprzytomniła sobie, że ten pocałunek niczym nie różnił się od tych, które ofiarowywał jej, gdy byli sami. Wtedy całą namiętność miał wyrażać jego przyśpieszony oddech. Odsunęła się trochę i przyjrzała jego twarzy. Nadal ją obejmował. Takie

właśnie zdjęcie zakochanej młodej pary ozdobiło pierwsze strony gazet w Tallahassee. Fotograf nie zauważył niczego podejrzanego.

Niecałą godzinę później mały odrzutowiec wylądował na niewielkim prywatnym lotnisku parę kilometrów na północ od granicy parku Everglades. Wysiadła chwilę po tym, jak rozsunęły się metalowe schody. Z ulgą opuszczała samolot, w którym była jedynym pasażerem.

Parę hangarów otaczało parterowy dom z cegły. Rażnym krokiem ruszyła w stronę podwójnych szklanych drzwi budynku. Nagle zatrzymał ją niski głos.

- Hej, proszę pani!

Odwróciła się i zmrużyła oczy, oślepiona blaskiem słońca, padającego na metalową ścianę hangaru. W oddali, obok jeepa, spostrzegła sylwetkę mężczyzny.

- Gdzie jest kongresmen? - krzyknął.

Melanie uniosła brwi ze zdziwieniem. To nie był chyba kierowca, który miał ją zawieźć do hotelu? Tym pojazdem?! Nawet stąd widziała pokrzywione, zachlapane błotniki i złowieszczo wyglądającą, mocną kratownicę z przodu.

- Czy to pytanie do mnie? - rzuciła, nie podnosząc głosu. Nie mogła zniżyć się do tego, by krzyczeć przez całe lotnisko niczym zwykła baba.

Ku jej zdumieniu wszystko usłyszał, a na domiar złego zdecydowanym krokiem ruszył w jej stronę. W miarę jak się zbliżał, nabierała coraz większego przekonania, że jest wojskowym. Na to wskazywała jego wyprostowana sylwetka i sposób chodzenia. Jedynie strój wzbudzał wątpliwości. Spodnie z grubego płótna wcisnął niedbale do wysokich butów. Brązowy podkoszulek bez rękawów odsłaniał

muskularne, opalone ramiona. Wszystkie podejrzenia o jego powiązania z wojskiem rozwiały się, gdy z bliska zobaczyła jego twarz. Instykt podpowiedział jej, że nie należy do tych, którzy słuchają rozkazów.

- Oczywiście. A do kogo innego? - powiedział dźwięcznym, silnym głosem. - Więc gdzie jest kongresmen? To przecież jego samolot.

Przytaknęła machinalnie, zauroczona najbardziej chyba niezwykłym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Zaczesane do tyłu włosy były tak kruczoczarne, że nie rozświetlało ich nawet ostre poranne słońce. Gładka, opalona twarz nie zdradzała jego wieku. Przypominała maskę, nie naznaczoną żadnymi przeżyciami właściciela. Miał prosty nos, wystające kości policzkowe i szerokie, wyraziste usta. Czarne brwi tworzyły dwie kreski nad równie czarnymi oczami. Zafascynowana jego urodą, nie obróciła się na pięcie, by odejść, choć w pierwszej chwili miała na to ochotę.

- A więc? - niecierpliwił się.

- Przepraszam... Nie rozumiem...

- Samolot kongresmena już jest, a gdzie on?

- Ach! - Ze zdenerwowania oblizwała wargi. - Nie przyjedzie. Ja go reprezentuję.

- Co?!

Z wrażenia zrobiła krok do tyłu.

- Jestem przedstawicielką kongresmena Par...

- Słyszałem! Po prostu nie mogę w to uwierzyć! - Mówił szybko, z szorstkim północnym akcentem, przez co dla niej jego wypowiedź brzmiała wyjątkowo ostro. - Parker nie przyjeżdża?! Wysłał... ciebie?!

Pogarda, z jaką wymówił słowo „ciebie”, wyrwała ją z zamyślenia. Wyprostowała się, dumnie uniosła głowę i spojrzała na niego z gniewem w oczach.

- Tak! Ale to chyba nie twoja sprawa. - W jej głosie pojawił się ton wyższości, który można było osiągnąć jedynie przeciągając słowa w sposób charakterystyczny dla mieszkańców Południa. - A teraz proszę zejść mi z drogi. W budynku czeka na mnie kierowca i muszę się z nim porozumieć...

- Już się z nim porozumiałas - uciął. - Jestem Benjamin Cage.

Melanie omiotła go pełnym niedowierzania spojrzeniem. To jest Benjamin Cage? Ten wszechmocny facet, który wzbudzał strach w kongresmenach?

- Niemożliwe! - powiedziała, nie zastanawiając się nad tym, jak głupio zabrzmiały jej słowa.

- A kim ty jesteś, do diabła!? - rzucił z kamiennym wyrazem twarzy. Tylko nieco zwężone oczy zdradzały, że podlegał zwykłym ludzkim odruchom.

Próbowała odplącić mu równie lodowatym spojrzeniem, ale nie było to łatwe. Musiałaby mocno odchylić głowę do tyłu, bo znacznie przewyższał ją wzrostem. Na przeszkodzie stało też polecenie Beau. Miała przecież zyskać przychylność Cage'a, a nie jego wrogość.

- Kongresmena Parkera bardzo interesuje problem dotacji z budżetu stanowego na utrzymanie parku Everglades - dostosowała ton do sytuacji i swojej roli. - Niestety, nie mógł sam przyjechać i dlatego wysłał mnie.

Cage w milczeniu uniósł jedną brew.

- Przekażę mu wszystkie dane, a on z pewnością je przeanalizuje przed głosowaniem w przyszłym miesiącu...

Pod wpływem jego lodowatych oczu mówiła coraz ciszej. W końcu ze zdenerwowania głośno przełknęła ślinę. Najwyraźniej był po prostu wściekły, że go zlekceważono. Można spodziewać się kłopotów, jeżeli rzeczywiście od niego zależała przyszłość polityczna Beau.

- Akurat jest sesja. Inni kongresmeni też nie mogliby przyjechać - skończyła niezręcznie.

- Nie zaprosiłem nikogo innego.

Tylko starannemu wychowaniu zawdzięczała to, że jej zdziwienie nie uzewnętrzniło się w formie szeroko otwartych ust. Nikt więcej nie przyjeżdżał? Nie będzie żadnego tłumu, który by zadawał fachowe pytania i skupiał na sobie uwagę Cage'a, podczas gdy ona mogłaby spokojnie stać na uboczu?

- Twój Parker wyjątkowo energicznie zabiega o obcięcie funduszu. Pomyślałem, że gdybym wytłumaczył mu, jaką to by było katastrofą dla Everglades, przekonałbym jego, a on swoich kolegów... - Westchnął. - Chciałem, żeby poświęcił mi parę dni. Pogadałbym z nim jak mężczyzna z mężczyzną i pokazał, co się tutaj dzieje...

- Ja mogę to zobaczyć i wszystko mu opiszę - powiedziała z wahaniem. Rzeczywiście, postanowiła tak zrobić, chociaż Beau chyba nie zależało na wiarygodnych informacjach.

- Kto mi zagwarantuje, że on cię wysłucha?

Nie odpowiedziała. Przez chwilę nawet marzyła, żeby się zdenerwował i odesłał ją do Tallahassee. Ten cholerny Beau do samego końca ukrywał prawdziwe motywy swojego postępowania. Opowiadał jej

same półprawdy i wplątał w rozgrywki, których nie rozumiała i w których nie chciała uczestniczyć. Na dodatek jego przyszłość polityczna znajdowała się teraz w jej rękach, co ją szczególnie irytowało. Dobrze wiedział, że poczucie lojalności nie pozwoli jej na zdradę.

- Na pewno to zrobi - zapewniła Cage'a z przekonaniem i zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. Z trudem wytrzymała jego wzrok.

- Chyba nie mam wyboru - powiedział przez zaciśnięte usta. - Muszę uwierzyć na słowo. Ruszajmy wobec tego. Najpierw trzeba przenieść bagaże do jeepa.

Odczekała, póki nie odwrócił się do niej plecami. Dopiero wtedy odetchnęła z ulgą. Chyba udało jej się zachować równowagę między lojalnością wobec narzeczonego a swoim własnym poczuciem dobra i zła. Nie skłamała, ale zdołała poskromić gniew Cage'a. Przekonała go, że powinien ją zaakceptować jako wysłanniczkę Beau. Z kolei w wyniku jej zabiegów powstała dość zabawna sytuacja. Właściwie sama wprosiła się na trzydniowy pobyt w Everglades, sam na sam z mężczyzną, który na dodatek nosił podkoszulki bez rękawów i kalosze.

Raptem zrozumiała, dlaczego tak dziwnie się czuje. Czekala ją wielka przygoda. Jeden głos wewnętrzny nakazywał jej wracać do Tallahassee, a drugi podpowiadał coś wręcz odwrotnego, zwłaszcza kiedy patrzyła na szerokie plecy Cage'a.

ROZDZIAŁ DRUGI

Już raz Melanie jechała kabrioletem. Było to, kiedy została królową Parady Magnolii, jeszcze w college'u. Jazda otwartym jeepem Benjamin Cage'a dostarczyła jej całkowicie nowych wrażeń.

Z gładkiej nawierzchni lotniska zjechał na wąski gliniany trakt, z którego wystawały kamienie wielkości męskiej pięści. Wtedy dopiero zaczęła się prawdziwa zabawa. Z duszą na ramieniu, kurczowo ścisnęła zbielełymi dłońmi poręcz fotela. Co chwila podskakiwała na siedzeniu i tylko pasom bezpieczeństwa zawdzięczała to, że nie wypadła na zewnątrz. Ze strachu, że przygryzie język, nie odważyła się krzyknąć do Cage'a, by zwolnił.

Powinam była włożyć kapelusz - pomyślała, gdy mknęli przez równinę porośniętą wysoką trawą. Upał doskwierał, mimo wczesnej pory. Pod bezlitosnym słońcem Florydy czuła się jak na patelni. Między podskokami bolała nad późniejszym wyglądem swojej spieczonej twarzy. Potem karciała się za próżność, przekonana, że i tak nie przeżyje tej szaleńczej jazdy.

- Droga jest nie najlepsza! - Cage przekrzykiwał wyjący, przeciążony silnik. Gdyby pęd powietrza pozwolił jej otworzyć usta, z pewnością roześmiałaby się w głos, słysząc tak łagodne określenie. Zaryzykowała szybkie spojrzenie w bok, na jego profil. Dostrzegła dyskretny, złośliwy uśmiech. Do cholery! Bawił się jej kosztem, rozkoszował zemstą za to, że nie była Beau.

Po nie kończącej się jeździe przez zalaną słońcem równinę, Cage skręcił w wąską ścieżkę wśród ciemnej gęstwiny gigantycznych drzew.

Melanie zacisnęła mocno powieki ze strachu przed nieuniknionym zderzeniem z którymś pniem. Jeep stanął. Siedziała jeszcze przez chwilę i wsłuchiwała się w ciszę, która zapadła po wyłączeniu silnika. Do jej świadomości z trudem docierał fakt, że jest cała i zdrowa.

„Ty bałwanie!”, chciała wrzasnąć na Cage'a, ale damy z Południa nie wrzeszczały ani nie obrzucały nikogo obelżywymi wyzwiskami. Poprzestała na tym, że powoli obróciła twarz, by spojrzeć na niego z wyższością i pogardą.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że jego nieprzenikniona twarz wyrażała więcej dumy i godności, niż ona byłaby w stanie okazać przy największym wysiłku woli.

- Następnym razem ja poprowadzę - oświadczyła jadowitym głosem.

Zafascynowana obserwowała uśmiech Cage'a. Jego usta uniosły się nieznacznie tylko z jednej strony. Druga pozostała nieruchoma. Pewno nie chciał zanadto zmęczyć mięśni, bo cel nie usprawiedliwiał ich pełnego wykorzystania.

- No to jesteśmy - oznajmił krótko.

Wyteńczyła wzrok, by zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie zachlapanej błotem szyby. Zaparkowali w środku dżungli, przed małą chałupką, balansującą niebezpiecznie na paru wbitych w ziemię palach.

- Gdzie mianowicie?

- W domu - odparł wpatrzony w nędzną chatynkę, zagubioną w lesie.

- Albo raczej w moim domku letnim. Przyjeżdżam tu, kiedy chcę uciec od świata.

Splątana roślinność napierała na drewniany domek, który w tym otoczeniu zdawał się jeszcze mniejszy, niż był w istocie.

- Naprawdę? - zauważyła uprzejmie, choć przyszło jej to z trudem.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś z własnej woli przebywał w tak wrogim człowiekowi środowisku. - Tu można zostać na dłużej?

- Ja przynajmniej jestem tu jak najczęściej i jak najdłużej. Dalej już nie mogę odjechać od swojego biura.

- Niewątpliwie przyjemne miejsce - przyznała przez grzeczność.

- Wspaniale, że tak myślisz, bo właśnie w tej chacie się zatrzymamy.

- Nie mógł opanować śmiechu na widok jej miny.

Z pewnością żartował! Jeszcze raz w sadystyczny sposób próbował sprawdzić jej wytrzymałość, jak w czasie niedawnej jazdy jeepem.

- Naprawdę? - spytała zaczepnie, aby przypadkiem nie uznał jej za tak dziecinnie łatwowierną. W żadnym wypadku nie mógł oczekiwać, że zamieszka w takim szałasie...

- Niestety, skromność należy zostawić za drzwiami. Zbyt mało miejsca na to, żeby zadbać nawet o pozory. Nie spodziewałem się zresztą kobiety.

Powoli zwróciła w jego stronę oczy pełne zdumienia.

- To chyba dowcip.

- Mówię poważnie. Trzeba pomieszkać w parku Everglades, żeby go zrozumieć. Wystarczy parę dni. Motele są dla turystów. Jesteś przedstawicielką kongresmena Parkera. Chcesz zobaczyć, co miałem mu pokazać?

Z westchnieniem popatrzyła teraz już innym okiem na dom. Czy nie chwiał się na palach? A pale czyż nie przypominały bardziej wykałaczek niż solidnych podpór? Skupiła całą uwagę na tych zagadnieniach. Nie zauważyła nawet, że Cage wysiadł z samochodu i zaczął wnosić jej bagaż.

Szedł po skrzypiących, drewnianych schodkach na ganek, który otaczał chatę.

- Idziesz? - krzyknął z najwyższego stopnia.

Siedziała jeszcze w aucie. Niezręcznie zaczęła odpinać pas bezpieczeństwa. Nie miała wcale ochoty opuścić niewygodnego jeepa, zwłaszcza w obliczu takiej sytuacji.

Nie pozostanie tu, oczywiście. Nie mogłaby. Nawet jeżeli wdrapie się po tych rozklekotanych stopniach na swoich cieniutkich obcasikach, nawet jeżeli dodatkowe obciążenie nie spowoduje tego, że dom z hukiem runie na ziemię, to i tak musi wziąć pod uwagę kwestię przyzwoitości. Młode damy z Południa nie spędzały weekendów bez opieki w męskim towarzystwie, na dodatek w zupełnej dziczy. Dotyczyło to zwłaszcza pańienek zaręczonych z obiecującymi kongresmenami. Wszak byli oni ciągle pod ostrzałem opinii publicznej. Jak jednak odrzucić zaproszenie i jednocześnie nie obrazić człowieka, który, zdaniem Beau, miał tak kolosalne znaczenie dla jego kariery?

Nigdy nie zapominała o swoim wyglądzie. Teraz też robiła wszystko, by nie marszczyć czoła, podczas gdy próbowała rozwiązać ten dylemat. Mimo chłodu Cage'a wyczuła, że jest dumny ze swojej kryjówki jak mały chłopiec, który szczyli się szaląsem, własnoręcznie skleconym na drzewie w ogródku. Gdyby go zraniła stanowczą odmową, zrobiłaby narzeczonemu niedźwiedzią przysługę. Powinna przynajmniej wejść na górę. Przy odrobinie szczęścia może się nie zabije. Cage natomiast sam dostrzeże, jak nieprzemyślany jest jego pomysł. Było niedorzecznością nawet przypuszczać, że jakakolwiek kobieta na poziomie mogłaby mieszkać w takich warunkach.

W końcu wysiadła z jeepa. Usilnie próbowała ignorować fakt, że obcasy jej eleganckich szpilek natychmiast zatoneły w podmokłej ziemi. Zawahała się u stóp schodów. W ogóle nie było poręczy.

- Mogę cię wnieść... jeśli chcesz. Kusił ją czy rzucał wyzwanie?

- Dziękuję. Poradzę sobie. - Postawiła stopę na schodku, który był po prostu kawałkiem nędznej deski. Zamarła, kiedy ugiął się pod nią.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. - Przełknęła nerwowo ślinę. Odczekała, póki nie usłyszała, że zamyka za sobą drzwi. Wtedy ruszyła w górę na zupełnie sztywnych nogach. Ze strachu wstrzymywała oddech. Zaczepnęła powietrza dopiero na ganku. Nieopisanie dumna z własnego osiągnięcia, nareszcie mogła pozwolić sobie na niepewny uśmiech.

- Moje gratulacje. - Usłyszała zza drzwi. Właściwie była to rama, na której rozpięto gęstą siatkę. Drwina w jego głosie ukłuła ją do żywego. Spojrzała na niego z wściekłością. Jak długo ten gagatek zamierza czekać, nim otworzy kobiecie? Nie posiadała się ze zdumienia, gdy zniknął w głębi ciemnego wnętrza. Zdążył jeszcze rzucić przez ramię:

- Włóż!

- Przecież zamknięte! - odpaliła.

- No to otwórz!

Miała ochotę jęknąć z rozpaczy. Szarpnęła drzwi, a kiedy weszła do środka, puściła je, by trzasnęły z hukiem.

Całe wnętrze stanowił jeden kwadratowy pokój. Rozmiarami był zbliżony do niewielkiego salonu, w którym przyjmowano gości w jej rodzinnym domu. Na tym, niestety, kończyło się podobieństwo.

- Ależ tu... wiejsko - powiedziała, nie mogąc znaleźć lepszego słowa. Właściwie i tak zabrzmiało zbyt pochlebnie.

Pochyły strop, ściany i podłogę zrobiono z surowych, nie heblowanych desek. Szpary między nimi i wszelkie dziury wypełniała jakaś brunatna substancja. W trzech ścianach były spore otwory, wychodzące na ganek. Wpadał przez nie każdy, najłżejszy powiew powietrza. Nad nimi przymocowano kawały sklejki, które wisiały na hakach wbitych w sufit. Zadrżała na myśl o ciemnościach, jakie tu panowały, gdy przy nie sprzyjającej pogodzie opuszczano te prowizoryczne okiennice. Solidna decha przy czwartej ścianie musiała służyć jako wielofunkcyjny stół. W kącie stało pojedyncze łóżko, a na środku wiklinowa kanapa i krzesło.

- Siadaj! - Pochylił się i spod blatu zaczął wyciągać turystyczną lodówkę. - Przygotuję coś do picia.

Pewnym krokiem podeszła do krzesła. Opadła na winylową poduszkę, która ugięła się pod nią z chrzęstem. Siedziała wyprostowana, ściskając w dłoniach torebkę, jak kobieta, która nie zamierza zabawić długo z wizytą. Początkowo obserwowała napięte z wysiłku mięśnie jego ramion. Zażenowana swoim prostackim zachowaniem, spuściła oczy.

- Och! - westchnęła cicho, gdy jej wzrok padł na tkaninę pod stopami. Ostra czerwień, błękit i żółć tworzyły jedyną barwną plamę w tym ponurym miejscu. - Ależ to piękne! Gdzie ją zdobyłeś?

- Niedaleko stąd - powiedział, skapiąc bliższych informacji. Deski trzeszczały przy każdym jego kroku, kiedy szedł z dwoma małymi, oszronionymi butelkami.

- Gazowane wino? - spytała. Próbowwała ukryć swoją niechęć do tego napoju, który ostatnio zawałał półki sklepowe.

- Gorzej. Butelkowany drink z rumem. Mało rumu, dużo soku owocowego. Obrzydliwe w najwyższym stopniu.

Chciała poprosić o szklanę, ale zrezygnowała.

Wzięła butelkę, zadowolona, że może trzymać coś zimnego i wilgotnego w dłoni.

- Dlaczego to pijesz, jeżeli jest aż tak obrzydliwe?

- Mnie łatwo zadowolić. Chodziło mi o ciebie.

- Sugerujesz, że mnie trudno? - spytała rozdrażniona.

- Sugeruję, że sądząc po twoim wyglądzie, należysz do zwolenniczek szampana.

Nie wiedziała, czy ma to uznać za obrazę, czy też za komplement. Ku jej zdziwieniu napój okazał się dość smaczny.

- Niespodziewanie odświeżający.

- Na zewnątrz jest prawie czterdzieści stopni, a ty nic nie piłaś po przylocie. Założę się, że w tej chwili uznałabyś piwo z beczki za luksus.

Wytrzeszczyła oczy, zgorziona takim przypuszczeniem.

- Powinnaś się natychmiast przebrać. Chyba ledwo wytrzymujesz w tym stroju.

Odsunęła poły zakietu, by poczuć powiew chłodniejszego powietrza na ciele.

- Na razie czuję się zupełnie dobrze. Z przebieraniem poczekam, póki nie będę w swoim poko...

- Może nie wyraziłem się dość jasno. Jeżeli masz zamiar zająć miejsce kongresmena Parkera i oglądać Everglades tak, jak ja to

zaplanowałem, musisz przystać na moje warunki. Albo motel, albo zwiedzanie. Wybieraj.

Nie mogła zdecydować, co byłoby gorsze dla kariery Beau: jej natychmiastowy powrót do Tallahassee, wrogość Cage'a i niepowodzenie całej misji czy też pobyt sam na sam z obcym mężczyzną na tym pustkowiu.

- A więc? Co wolisz? Ja też mam swoje sprawy. Wcale nie było mi łatwo wykroić te trzy dni wolnego, by tu przyjechać. Chciałbym mieć pewność, że nie zostaną zmarnowane. - Pochylił się do przodu i oparł przedramiona na udach. Prawie pusta butelka zwisała w jego dłoniach między kolanami. Nie spuszczał oczu z jej twarzy.

- Bez wątpienia dostrzegasz niestosowność tej sytuacji - zaczęła swoim najmiłszym, słodkim głosem.

- Nie spodziewałeś się kobiety i rzeczywiście nie ma tu odpowiednich warunków...

- Łóżko jest twoje. Ja będę spał w śpiworze.

- Twarda północna wymowa sprawiała, że jego wypowiedzi brzmiały rozsądnie i stanowczo. - Nie martw się. Nie snuję planów gwałtu.

- Podobna myśl nawet nie wpadła mi do głowy - stwierdziła sucho. Tylko zgorszenie malujące się w jej oczach wskazywało na to, że z trudem panuje nad sobą.

- Istotnie?

Melanie nie wiedziała, czy z niej drwi, czy chce ją onieśmielić. W obu przypadkach powinna po prostu zachowywać się wyniośle i z dystansem.

- Martwi mnie brak osobnego pokoju i związane z tym kłopoty. W ogóle nawet nie przyszło mi do głowy wątpić w to, że jesteś dżentelmenem.

- Kto ci powiedział, że nim jestem?!

Nie była przygotowana na tego rodzaju pytanie.

- Zrobiłam takie założenie, przemawiające na twoją korzyść - powiedziała lodowatym głosem. - Być może popełniłam błąd.

- Takie założenie zawsze jest błędem, zwłaszcza gdy robi je kobieta o twoim wyglądzie. - Uśmiechnął się złośliwie. - Jednak z szacunku dla twojej naiwności obiecuję, że będę próbował postępować jak dżentelmen. Nie obiecuję, że moje starania zostaną uwieńczone sukcesem.

Zrozumiała tę słabo zamaskowaną groźbę, ale nie zareagowała. Po prostu chciał ją zastraszyć i niemal mu się to udało. Celowo mówił rzeczy, które zaszokowałyby każdą damę. Prawda była inna. To jemu zależało na niej. Jeżeli pragnął, by informacja o stanie parku dotarła do Beau, musiał respektować reguły gry narzucone przez nią.

- Przysięczenia są zbędne - oznajmiła z godnością.

- Nie zostanę tutaj. Albo będę mieszkała w motelu, albo wyjeżdżam.

Z satysfakcją spostrzegła jego uniesioną ze zdziwienia brew.

Ciekawe, czy już kiedykolwiek w życiu spotkał się z odmową?

- W porządku. Niech będzie, jak chcesz. Uśmiechnęła się, by osłodzić mu gorzyc porażki.

- Zobaczysz, noclegi w motelu w żaden sposób nie wpłyną na to, co poznam i zwiedzę w ciągu dnia...

- Głos zamarł jej na ustach. Cage wstał raptownie, podniósł walizki i pomaszerował do drzwi.

- Chodź. Zawiozę cię na lotnisko.

- Na lotnisko? Ale ja myślałam...

Walizki z hukiem upadły na podłogę. Stał wyprostowany, a jego oczy patrzyły w dół, na nią. Czuła, że się kurczy pod tym spojrzeniem.

- Powiedziałem już - stwierdził oschle. - Wygospodarowałem wolny weekend. Pobyt w parku miał przekonać kongresmena Parkera, jak bardzo potrzebne są większe dotacje z budżetu. Wiele ciekawych rzeczy dzieje się tu po zmierzchu, a tego nikt nie zobaczy z klimatyzowanego pokoju w motelu. Jeżeli więc zostaniesz pod warunkiem, że będziesz mieszkała w motelu, to twoja wycieczka nie ma najmniejszego sensu. - Ponownie wziął walizki i ruszył do wyjścia.

- Poczekaj chwilę! - Na szczęście zdołała go zatrzymać. Należało zmienić taktykę. - Wyznam, że jestem w kropce. Co powinnam zrobić? Zrezygnować z mojej misji czy też nie słuchać w ogóle głosu rozsądku?

- Czy to się wzajemnie wyklucza?

- Nie wiem - powiedziała z nie udawaną szczerością. - Byłoby lepiej, gdybym mogła zadzwonić do Beau... do kongresmena Parkera.

- Zdobyłaś stanowisko asystentki kongresmena i nie potrafisz samodzielnie podejmować decyzji? - spytał drwiącym głosem.

- Nic nie rozumiesz. Nie jestem jego asystentką. Gdybym nią była, nie martwiłabym się, jak moje zachowanie wpłynie na jego...

- Chwileczkę. Kim wobec tego jesteś?

- Jego narzeczoną - oświadczyła z godnością i wyprostowała się na krześle. - Wysłał tu najbliższą mu osobę. Dlatego możesz być pewien, że przekażę wszystko, czego się dowiem bezpośrednio...

Walizki znów uderzyły o podłogę, więc zamilkła przestraszona. Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył. Nareszcie coś mogła wyczytać z jego nieprzeniknionych oczu i wcale nie ucieszyło jej to, co zobaczyła. Zmrużone i dziwnie błyszczące świadczyły o gniewie i wzburzeniu. Mruczał przekleństwa pod nosem, ale nie odważyła się skrytykować jego nieodpowiedniego słownictwa.

- Jesteś jego narzeczoną? Wysłał narzeczoną, by zebrała dla niego dane? Na jakiej podstawie uznał, że możesz zajmować się tak ważną sprawą?! Bo jesteś dobra w łóżku?!

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób!

- A ty jak śmiesz udawać wykwalifikowaną pracownicę, kiedy w istocie jesteś tylko...

- Nie udawałam nikogo! - Sama zdziwiła się, że aż tak głośno krzyknęła. Co ją opętało? Melanie Annabelle Brooks, kobieta z Południa, starannie wychowana dama, raptem wrzeszczy jak prosta dziewczyna. Zamknęła na chwilę oczy, by odzyskać panowanie nad głosem. - Nie próbowałam udawać. Powiedziałam, że reprezentuję kongresmena i tak właśnie jest. Nie wiadomo dlaczego, wpadło mu do głowy, że będę jedną z wielu osób, które tu przybędą, że wysłanie kogoś tak mu bliskiego pokaże, jak wielką wagę przywiązuje do tego przedsięwzięcia - skończyła załamującym się głosem, bo przypomniawszy sobie ostatnią rozmowę z Beau.

- On ci to powiedział?! - Bała się spojrzeć w jego surowe, zimne oczy. -Dobrze wiesz, z jakiego powodu cię tu przysłał, prawda? Twój przyjazd ma przekonać wszystkich, a zwłaszcza prasę, że on jest zainteresowany argumentami obu stron. W rzeczywistości wcale nie zamierza nikogo słuchać.

Prosto i bez ogródek przedstawił rozumowanie Beau. Ona sama poczuła niesmak już na lotnisku, kiedy dowiedziała się o planach Beau. Teraz miała wrażenie, że jest brudna i splamiona tymi knowaniami.

- Chyba... chyba te zarzuty są nieuzasadnione.

- Czy jeszcze na dodatek kłamiesz?

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie. Beau może zrobił z niej nieświadomą współniczkę swojego oszustwa, ale nie zamierzała uciekać się do ordynarnego kłamstwa w jego obronie. Z drugiej strony, jeżeli ma ratować pozory, musi ukrywać prawdę. Zgarbiła się na krześle.

- Nie kłamię.

Przez chwilę panowała cisza.

- Uspokój się - powiedział w końcu.

Zastanowiła ją łagodność w jego głosie. Raptem stał się dla niej miły. Może litował się nad nią, bo tak samo została wystrychnięta na dudka jak i on. Wolałaby raczej pogardę. - Zawiozę cię na lotnisko... Jak ty się w końcu nazywasz?

- Melanie - powiedziała cichym głosem. - Melanie Annabelle Brooks.

- Melanie Annabelle Brooks? Z Creek County w Georgii?

Kiwnęła głową. Nie zdziwiło jej, że wiedział, skąd pochodzi. Ostatnio dość często pisano o niej w prasie.

- Mój Boże - mruknął po chwili. - Koło się zamknęło.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Melanie Annabelle Brooks - powtórzył. Stał z wzrokiem utkwionym za oknem. - Może w końcu jest tak, jak mówią Indianie... że

los dorosłego zapisany jest w imieniu dziecka, że wielkie imiona gwarantują wspaniałe czyny.

Wprawił ją w zakłopotanie. Jej nazwisko od pokoleń należało do bardziej znanych, co wcale nie znaczyło, że w przyszłości dokona czegoś wspaniałego. Cóż mogła powiedzieć o swoim przeznaczeniu? Na pewno czekało ją stosowne miejsce w społeczeństwie jako oddaną żonę dżentelmena z Południa. Taką rolę odgrywały kobiety z rodziny Brooksów od dziesięcioleci.

Zaczęła się zastanawiać, jak by to było, gdyby miała inny cel w życiu, gdyby zostało po niej coś więcej niż tylko portret olejny, zbierający kurz w kącie na strychu.

- Może jednak zostanę... - powiedziała z wahaniem.

- To nie ma sensu. Oboje wiemy, o co chodzi. Nie widzę powodów, by ciągnąć dalej tę zabawę.

- Wszystko się dość niefortunnie zaczęło, ale koniec wcale nie musi być taki. - Tylko dłoń zaciśnięta kurczowo na torebce świadczyła o jej zdenerwowaniu.

- Poza sprawozdaniami, które Beau mi dał do przeczytania, nic nie wiem o Everglades. Właściwie niewiele wiem o tym, co dzieje się poza frontową werandą domu, w którym wyrosłam. Jednak mam trochę wpływu na Beau i jeżeli przekonasz mnie, że obcięcie budżetu jest błędem, być może zdołam wytłumaczyć to i jemu.

Jej oferta była szczerą, choć wątpiła, czy wzbudzi entuzjazm Cage'a. Od początku orientowała się, że jej podróż jest tylko na pokaz i trzymała to w tajemnicy. Miałby jej teraz zaufać? Nie zauważyła żadnej zmiany w

jego obojętnym, pozbawionym wyrazu spojrzeniu. Zrezygnowana czekała na zdecydowaną odmowę.

- Dobrze. Spróbujemy.

Zaskoczył ją całkowicie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jego zgoda sprawiła jej taką radość.

- Po pierwsze, musimy wydobyć cię z tych kretyńskich ubrań. - Odczekał chwilę, rozkoszując się jej reakcją, a potem dodał: - Potrzebujesz czegoś lżejszego. Masz dużo do zobaczenia, a tam, gdzie będziemy, jest gorąco.

- A tu jest niby chłodno? - Wstała i wygładziła spódnicę. - Najpierw się umyję, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Gdzie jest łazienka?

- Jaka łazienka? - spytał niewinnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie ma łazienki. Ta wiadomość zdominowała wszystkie jej myśli. Już zapomniała o niestosowności trzydniowego pobytu z Benjaminem Cage'em w jego domku w Everglades. Taki szczegół bladł wobec najważniejszej sprawy - nie było łazienki.

Nadal stał w drzwiach prowadzących na ganek. Pewno myślał, że jest zepsuta, pełną pretensji, głupią kobietą, przyzwyczajoną do cieplarnianych warunków i niezdolną do innego życia choćby przez parę dni. I niewiele się mylił. Nie chciała zostać, nawet kiedy jeszcze nie wiedziała, jakie ją czekają kłopoty z myciem.

- Nie ma bieżącej wody - przerwał milczenie. - Ani elektryczności.

Omiótł spojrzeniem jej drogie pantofle i kostium, jakby chciał dać jej do zrozumienia to, co było i tak oczywiste, a mianowicie, że w ogóle nie pasowała do otoczenia. Zacisnęła zęby. Postępował tak celowo, by zmusić ją do odejścia.

Miała ochotę się zbuntować. Całe życie spełniała życzenia innych, a w szczególności mężczyzn. Najpierw ojca, a potem Beau. Zawsze zachowywała się zgodnie z wymogami narzuconymi przez urodzenie i wychowanie: miała dobre maniery, promieniowała kobiecością, nigdy nie zrobiła nic zaskakującego. Obu mężczyzn przeraziłaby myśl o warunkach, w jakich miała tu żyć, i niespodziewanie dla niej samej właśnie dlatego stały się wyjątkowo atrakcyjne.

- Gdzie wobec tego mogę się umyć? – próbowała nadać nonszalancki ton swojemu głosowi. - Jeśli mam zostać, musisz zaproponować mi jakieś rozwiązanie.

Z olbrzymią satysfakcją obserwowała zaskoczenie na jego twarzy. Nigdy jeszcze nie wprawna w zdziwienie mężczyzny, na dodatek takiego. Jej zadowolenie nieco zmalowało, gdy wyszli na zewnątrz.

Po przyjeździe, ogłuszona wyciem silnika, odniosła wrażenie, że w lesie panuje całkowita cisza. Teraz do jej uszu napływała kakofonia dźwięków. Wokół brzęczały i bzyczały chmary owadów. Z góry dolatywał świergot i skrzek ptaków, fruujących nad baldachimem utworzonym z drzew.

Każda paproć falowała, jakby przed chwilą poruszyło ją przyczajone zwierzę. Gąbczaste podłoże ustępowało pod jej obcasami, a potem z płaskiem puszczało wessane w głąb cienkie szpileczki. Szła tuż za Cage'em. Próbowwała stawiać stopy na śladach jego kaloszy.

- To jest wygodka. - Wskazał mizerną, drewnianą konstrukcję za drzewami.

W milczeniu kiwnęła głową. Oczami wyobraźni widziała tysiące tajemniczych stworzeń, które po zmroku na pewno będą czyhały na wąskiej ścieżce.

- A tutaj mamy prysznic.

- Prysznic?

Pełna nadziei weszła za grube pale, na których stała chata. Z niedowierzaniem przyglądała się gumowej rurce zakończonej siateczką. Zwisiała przez dziurę w podłodze ganku.

- Na górze jest beczka. Zbieram w nią wodę deszczową. Przekręcasz ten kurek i proszę, jest prysznic.

- Ależ to jest na zupełnie otwartej przestrzeni. Nie ma ścian... ani nawet zasłony... - Nie ukrywała zdenerwowania.

- Czy są potrzebne? - Zatoczył dłonią krąg w stronę zielonej gęstwiny, która ich otaczała. - Las może mieć tysiące oczu, ale żadne z nich nie należą do człowieka.

Monotonnym głosem znudzonego przewodnika wyjaśniał, w jaki sposób dom jest zaopatrywany w wodę.

- Akurat trafiłaś na sezon deszczowy, więc nie grożą nam żadne problemy, co nie znaczy, że nie powinniśmy uważać. Nigdy, przenigdy nie zostawiaj odkręconego kurka, bo nie będzie co pić. Jeżeli chcesz się szybko umyć, używaj tamtej miski.

Jej oczy powędrowały za jego wzrokiem. „Miskę” stanowiło płytkie wgłębienie wydłubane w ściętym pniu drzewa.

- Sprytne - mruknęła, chociaż cisnęły jej się na usta zupełnie inne słowa: prymitywne, niecywilizowane, barbarzyńskie. W tym momencie oślepiło ją słońce, odbijające się od metalu.

- A to co?

W połowie wysokości pale były otoczone połyskującymi obręczami.

- Nie pozwala małym zwierzętom wejść do chaty. Dla gryzoni to przeszkoda nie do pokonania, a węże nie lubią tędy pełzać, bo krawędzie są ostre.

- Węże? - spytała cichutko. - W domku?

Już widziała, jak wiją się po jej łóżku. Najchętniej zemdlałyby z wrażenia. Dowiodłaby tym samym, że mieli rację wszyscy karykaturzyści, którzy na swoich rysunkach przedstawiali damy z Południa bliskie utraty przytomności w obliczu każdego niebezpieczeństwa.

- Nie bój się. Większość z nich jest niegroźna.

- Naprawdę? To wielka pociecha.

- Chodź na górę. Nauczysz się nabierać wodę pitną z beczki i obsługiwać lampę olejną. Poza tym naprawdę musisz włożyć coś bardziej przewiewnego. Strasznie zbladłaś.

Po pierwszym spotkaniu z węzem będzie wyglądała znacznie gorzej.

Dreptała pośpiesznie, usiłując za nim nadążyć, gdy oprowadzał ją po domu. Udawała tylko zainteresowanie. Była pewna, że on sam wszystkim się zajmie. Wyjaśniał jej, jak zapalać cuchnące lampy i podcinać knoty, by nie dymiły. Zamiast słuchać, wróciła myślami do swojego dzieciństwa, które przeżyła w sielskiej atmosferze na rodzinnej plantacji w Georgii. Kiedy burza odcinała dopływ elektryczności, służba chodziła po domu z lampami olejnymi, ozdobionymi kryształowymi łożkami, które pobrzękiwały przy każdym kroku. Niemal nie zauważyła, że Cage przestał mówić i zaczął jej się bacznie przyglądać.

- Nie uważasz - stwierdził sucho.

Już miała zaprotestować, ale raptownie zrobiło jej się gorąco i duszno. Przejechała dłonią po zroszonym potem czole. Ciężyły jej powieki.

- Czy mógłbyś mi podać szklanekę wody? - spytała zduszonym głosem. - Straszny upał, prawda?

Położył dłonie na jej policzkach. W normalnych warunkach odsunęłaby się i nie pozwoliła na taką poufałość. Teraz reagowała bardzo wolno, jakby rozgrzane powietrze krępowало jej mchy.

- Cholera! - jęknął. - Powinienem był to przewidzieć. Ta jasna cera, niebieskie oczy...

Patrzyła na niego i nie rozumiała, co się dzieje. Jego twarz była na przemian wyraźna i zamazana. Co dziwniejsze, spostrzegła teraz wiele

rzeczy, których przedtem nie widziała. Na przykład jego oczy nie były wcale chłodne i pozbawione uczuć. Właściwie promieniowało z nich ciepło.

- Myślę... - zaczęła. Czy ludzie odczuwali właśnie takie dziwne zawirowania, gdy robiło im się słabo? - Chyba mam zawrót głowy.

Nogi ugięły się pod nią i w tej samej chwili Cage złapał ją mocno za ramiona. Proszę, proszę, pomyślała, ale zmarszczył brwi! Jak się o mnie martwi! To bardzo miłe...

- Spokojnie. - Słyszała jego głos, dobiegający z bardzo daleka. - Pozwól, pomogę ci.

Po chwili siedziała na krześle, a on stał pochylony nad nią. Zdenerwowany wpatrywał się w jej oczy.

- Cholera - mruknął. - Zaraz przyjdę. Nie ruszaj się.

Miała ochotę zachichotać. Jego rozkazy były tak bezsensowne. Nogi miała jak z gumy. A zresztą, nawet gdyby mogła wstać, nie potrafiłaby skoordynować ruchów ciała.

Wrócił w mgnieniu oka ze szklanką wody i chłodnym, wilgotnym kompresem, który położył jej na czole. Nigdy nie piła nic równie pysznego, ale, niestety, pozwolił jej tylko na parę łyków. Spojrzała na niego pytająco. Pokręcił głową, nim zdążyła otworzyć usta, by zaprotestować.

- Nie w tej chwili.

- Chcę jeszcze...

- Wiem. Za moment dostaniesz więcej. Już lepiej się czujesz?

- Tak. - Patrzyła, jak klęka przed nią i zrećźnie odpina guziki jej żakietu. Czowała, że chyba nie powinna do tego dopuścić, ale zupełnie

oszołomiona, nie potrafiła nawet zebrać myśli, a co dopiero zareagować. Na dodatek powietrze przyjemnie chłodziło jej rozpaloną skórę.

Obserwowała jego twarz, gdy rozchylił żakiet i przykładał wilgotny ręcznik do jej szyi i dekoltu. Robił to ze ściągniętą z wysiłku twarzą. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tyle trudu kosztuje go tak prosta czynność. Kiedy zadrżała z zimna, Cage zdjął ręcznik i wstał.

- Proszę.

Podał jej szklanekę i znów się napiła. Już wróciła jej normalna ostrość wzroku. Jego spojrzenie sprawiło, że zaczerwieniona ze wstydu przykryła żakietem odsłonięte ciało.

- Dziękuję. Już mi lepiej - powiedziała trochę zbyt szybko. - Pokój przestał wirować. To chyba zaczarowana woda.

- Każda woda ma magiczne właściwości, gdy ktoś jest bliski udaru cieplnego. Chyba nie piłaś zbyt wiele w czasie lotu?

- Nic.

- A kiedy piłaś po raz ostatni?

- No wiesz, ten napój rumowy, który mi dałeś...

- Nie przypominaj mi o tym. A przedtem?

- Dzisiaj rano. Trochę soku pomarańczowego przy śniadaniu. Z twojej firmy, nawiasem mówiąc.

- Przy śniadaniu?! Tyle godzin temu?! Co ty wyprawiasz? Chcesz się zabić? Masz jasne włosy i jasną cerę. Powinnaś wiedzieć, że dla ciebie słońce jest bardziej niebezpieczne niż dla innych.

- Opowiadasz bzdury.-Zniecierpliwiona machnęła ręką. - Nic mi nie grozi. Całe życie mieszkam na Południu...

- Jeśli się nie mylę, zawsze w klimatyzowanych pomieszczeniach...

- I co z tego? - Pomyślała o olbrzymich, chłodnych pokojach w swoim rodzinnym domu i przyjemnym, wyziębionym pokoju hotelowym w Tallahassee, gdzie spędziła poprzednią noc.

- A więc nie masz pojęcia, jak się zachowywać w takiej temperaturze i wilgotności powietrza - burknął. - Gdybyś miała, nie wzięłabyś do ust alkoholu, kiedy po prostu chciało ci się pić. Nie można chyba szybciej odwodnić organizmu.

- Ty mi go dałeś... - Broniła się nieśmiało.

- Wiem o tym. Myślałem, że masz chociaż trochę zdrowego rozsądku! - Zamknął oczy i ciężko westchnął. Przykucnął tak, że mógł patrzeć jej prosto w oczy. - Słuchaj, panienko, jeśli masz zamiar tu zostać i zwrócić uwagę na to, jak mocno zaakcentowałem słowo "jeśli", będziesz musiała szybko nauczyć się paru rzeczy.

- Nie przyjmuję do wiadomości żadnego "Jeśli" - próbowała mówić zdecydowanym głosem. - Powiedziałam już, że chcę zostać i tak będzie.

- Mogę ci nie pozwolić.

- Potrzebujesz mnie, pamiętasz? Jedynie dzięki mnie masz szansę przekonać Beau. Musisz się zgodzić. - Nareszcie triumfowała.

- Nic nie muszę.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Był bardzo blisko. Po raz pierwszy w życiu czuła wyraźny zapach drugiego człowieka. Jego woń była ostra, odurzająca, jak lasu sosnowego po deszczu. A Beau? Niepotrzebnie zadawała to pytanie. Nie przypominała sobie żadnego zapachu, który mogła uznać za jego własny.

- Ale ja chcę zostać - szepnęła. Nie rozumiała, dlaczego nagle stało się to dla niej tak ważne.

- Będziesz postępowała zgodnie z moimi regułami. Bez pytania. Bez niepotrzebnych kłótni.

- Tak. - Jej oddech poruszył delikatne pasemka włosów na jego skroniach.

- Musisz dużo pić. Nawet jeżeli ci się nie chce. Przynajmniej dwa razy więcej niż ja. Zgoda? - Kiwnęła głową. - Żadnych forsownych ćwiczeń, żadnych obfitych obiadków, tylko dużo niewielkich posiłków. I noś zawsze kapelusz. Chyba przywiozłaś jakiś? - Pokręciła przecząco głową. Zniecierpliwiony zacisnął usta. - Nieważne. Kupimy. A ubrania? Co masz w tej torbie?

- Jeszcze jeden kostium, sukienkę plażową, koktajlową...

- Koktajlową?! - Popatrzył na nią z grymasem niezadowolenia na twarzy. - Przywiozłaś sukienkę koktajlową na zwiedzanie Everglades?

- Myślałam, że będę mieszkała w hotelu! - wybuchnęła. - W hotelu z barem, restauracją, klimatyzacją i może nawet bieżącą wodą!

Mimo gniewu wyczuła, że Cage za chwilę wybuchnie śmiechem. Potem zastanawiała się, skąd jej to przyszło do głowy. Przecież jego kamienna twarz nawet nie drgnęła.

- Nie mówmy już o tym - powiedział i podał jej szklanekę, by wypić resztę wody. - Chyba pierwszą rzeczą, którą zrobimy, będzie wycieczka na zakupy do Everglades City. Nigdzie nie pójdziemy, dopóki cię nie ubiorę, jak trzeba.

Zaczęła zastanawiać się, czy decyzja pozostania tu z tym mężczyzną była największym błędem jej życia, czy też niedługo popełni jeszcze większy. Z gracją wzięła jego dłoń, gdy chciał pomóc jej wstać z krzesła.

- Jeszcze trochę niewyraźna?

Już nie, ale spodobało jej się, jak obejmuje ją w talii. Dama zawsze powinna móc liczyć na oparcie ze strony mężczyzny. Takie były reguły gry.

- Tak. Troszeczkę.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Miała wrażenie, że jazda do Everglades City nigdy się nie skończy. Samochód podskakiwał na wyboistych ścieżkach, które trudno było nazwać drogami. Posiniaczona i poobijana, szczerze ucieszyła się, gdy w końcu Cage wjechał na gładką asfaltową szosę. Cywilizacja była już blisko.

Chyba tylko przez pomyłkę ktoś użył słowa „city” w nazwie miasta. Światła regulowały ruch na jednym skrzyżowaniu, a najważniejszą atrakcją stanowiła brama do parku Everglades. Paru turystów przechadzało się główną ulicą. Melanie z zazdrością popatrzyła na ich krótkie spodenki i luźne podkoszulki. Jej lniany kostium już dawno stracił swoją świeżość i nieskazitelną biel. Czuła się brudna i spocona, a na dodatek śmieszna w zupełnie niestosownym stroju.

Wjechali na ocieniony parking restauracji dla zmotoryzowanych. Cage rzucił parę słów do mikrofonu przy samochodzie. Wpatrywała się w jego głowę, zafascynowana czernią włosów, Ciekawe, skąd pochodzili przodkowie, po których je odziedziczył?

- Głodna? - Nagle odwrócił się twarzą do niej.

- Wcale. - Nerwowo odgarnęła rozwiane wiatrem jasne kosmyki i wetknęła je za ucho.

- Mimo to zjesz coś. - Ze zdziwieniem stwierdził, że przytaknęła bez słowa protestu. - Łatwo godzisz się na cudze rozkazy.

- Przecież taka była umowa. Ty decydujesz, a ja słucham.

- Istotnie. Po prostu nie myślałem, że pójdzie tak łatwo.

Oczekiwałem oporu na każdym kroku.

- Nigdy się nie sprzeciwiałam, gdy kazano mi robić to, co będzie najlepsze dla mnie. - Melanie roześmiała się delikatnie, odpowiednio do sytuacji, całkowicie bez zarzutu.

- Zawsze polegasz na zdaniu innych? - spytał po chwili milczenia.

Zamyśliła się. Szukała w pamięci przykładu choćby najmniejszego buntu ze swojej strony i nie znalazła. Czy było w tym coś złego? Czy naprawdę powinna kwestionować opinie ludzi bliskich, jak jej ojciec lub Beau, którzy mieli na uwadze jedynie jej dobro?

Na dodatek taka postawa dawała poczucie bezpieczeństwa. Zawsze ktoś decydował o jej zachowaniu i strojach, wybierał odpowiednie szkoły, a nawet młodych mężczyzn, z którymi się spotykała. Dzięki temu mogła w swoim życiu uniknąć błędów.

Cage nadal ją obserwował. Wyraźnie czekał na odpowiedź. Nim zdążyła się odezwać, podeszła kelnerka w szortach i gorseciku. Przyniosła tacę, którą przymocowała do drzwi samochodu. Melanie od razu spostrzegła, jak jej mocno umalowane oczy pojaśniały na widok Cage'a. Błysnęła w uśmiechu zębami i wcisnęła do kieszeni pokaźny napiwek. Odchodząc parokrotnie spojrzała przez ramię. Co za prymityw - pomyślała Melanie.

- Czy kobiety zawsze tak na ciebie reagują? - spytała tonem pełnym irytacji.

- Czyli jak? - Wyglądał na zaskoczonego. Powiódł wzrokiem za kelnerką z miną mężczyzny, który może przegapił okazję.

- Chyba nie zamierzasz twierdzić, że nic nie zauważyłeś?

- Co miałem zauważyć?

- Jej prowokacyjne zachowanie, oczywiście - powiedziała bardziej złośliwie, niż zamierzała. - Na litość boską! Mało brakowało, a wczłogałaby się do samochodu...

- Naprawdę? Bardzo mi to pochlebia. - Nagle uśmiechnął się szeroko, jak mały chłopiec.

Popatrzył na kelnerkę. Stała pochylona nad kontuarem, za którym znajdowała się kuchnia. Cały ciężar ciała oparła na jednej nodze.

Uniesione biodro napinało materiał obcisłych szortów.

- Nie zwróciłem uwagi - mruknął pod nosem. - Może jako osoba, która zna się na tym, zrobiłabyś mi wykład na temat damskiej kokieterii...

Tym razem, kiedy na nią spojrział, w jego oczach dostrzegła rozbawienie.

- Proszę. - Podał jej szklanekę soku i półmisek pełen pokrojonych owoców, obok których leżał kawałek chrupkiego chleba. - Zjedz wszystko.

Melanie poczuła ostro-słodki aromat melona, arbuza, ananasa, mango, winogron i innych owoców, których nie znała.

- Chyba za dużo dla mnie - zastrzegła się, ale po chwili przetykała już ostatnie kęsy. Uświadomiła sobie, że Cage ją obserwuje. Zakłopotana spojrzała na niego, a potem na swój opróżniony talerz. - Byłam chyba bardziej głodna, niż myślałam.

- Podobno umiejętność czerpania rozkoszy z dobrego jedzenia świadczy o zmysłowości.

Melanie zakrztusiła się ostatnim kawałkiem ananasa. Unikała jego wzroku. Na pewno znów wyglądał tak, jakby miał zamiar się uśmiechnąć.

- A teraz dokąd? - spytała nie podnosząc oczu.

- Najpierw po jakieś sensowne ubranie, a później do domu.

Skończyłaś już?

Bez słowa podała mu talerz, przerażona swoim prostactwem. Damy zawsze coś zostawiały. Miało to świadczyć o niewielkim, w pełni kontrolowanym apetycie. Cage włączył silnik i wyjechał z parkingu. Z niepokojem myślała, że wystarczyło tylko parę godzin poza własnym środowiskiem, by zapomniała wszystkiego, czego uczono ją przez dwadzieścia cztery lata.

Samochód minął sklepy położone przy głównej ulicy i zatrzymał się przed dość nędznym sklepikiem na jednej z bocznych alejek.

- Miejscowi właśnie tu kupują to, czego potrzebują - oznajmił, kiedy wchodzili do środka. Cicho zadzwieczał dzwoneczek nad drzwiami. - Główna ulica jest dla turystów.

Melanie rozejrzała się po niewielkim wnętrzu, tak zapchanym towarem, że tylko bokiem można się było przecisnąć między półkami. Dominował zapach gumy, a wśród kolorów zgniłozielony.

Cage podszedł do stołu, na którym leżała sterta kaloszy. Grzebał w niej dłuższą chwilę.

- Mam! - Wyłowił parę w ohydny brudno-brązowy kolorze. - To mniej więcej twój rozmiar. Przymierz.

- Nie uważam, aby były naprawdę konieczne.

- Sceptycznie spojrzała na obrzydliwe buciory.

- Będziemy chodzić po podmokłym terenie - powiedział, a kiedy nie ruszyła się z miejsca, dodał cicho:

- Są tam węże... Skapitulowała.

W ciągu pięciu minut zdołał wybrać chyba najbardziej nieatrakcyjne ubrania, jakie kiedykolwiek w życiu widziała. Jej garderoba miała teraz składać się z obszernych płóciennych spodni, podobnych do tych, jakie nosił Cage, dwóch brudnozielonych koszul

z długimi rękawami, dwóch podkoszulków, tenisówek, szortów, no i oczywiście kaloszy. Rzucił wszystko na ladę obok kasy i wrócił jeszcze po słomkowy kapelusz z dużym rondem.

- Idealny - mruknęła. Z powątpiewaniem popatrzyła na tandetne nakrycie głowy, ozdobione czarną szarfą. Już wyobrażała sobie, jak będzie wyglądała, gdy zawiąże ją pod brodą.

Cage odpakował jedną z koszul.

- Stań tu przede mną. Zobaczymy, czy nie za duża.

Z westchnieniem wykonała jego polecenie. Rozłożyła ramiona, a Benjamin przyłożył do niej koszulę i popatrzył krytycznie. Po chwili jego wzrok zatrzymał się na jej obfitych piersiach. Przełknął głośno, a Melanie zamarła. Szybko skierował spojrzenie na jej twarz.

- Wystarczy, jeżeli sprawdzimy długość rękawów - mruknął, niemal nie poruszając wargami.

Opuściła dłonie. Mankiety otarły się o koniuszki jej palców.

- Jak? - spytał stłumionym głosem.

- W porządku - szepnęła, zauroczona jego wzrokiem.

Bezmyślnie zsunął dłonie z jej ramion. Zatrzymały się na klapach zakietu, które gniótł między palcami. Pod ciężarem jego dłoni jedwabna podszewka ocierała się o jej skórę. Spostrzegła nieznaczny skurcz mięśni przy jego ustach. Nieświadomie zareagowała niemal niezauważalnym odchyleniem głowy do tyłu.

Koszula z szelestem opadła na podłogę. Przez chwilę jeszcze patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami, jak dzieci przyłapano na gorącym uczynku. Potem Cage schylił się szybko i podniósł ubranie.

Oszłomienie miało powoli. Ze zdziwieniem patrzyła, jak pochylony nad ladą, gryzmolił coś na specjalnej tabliczce do pisania. Czyżby to, co stało się przed chwilą, nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia?

- Co robisz? - wykrztusiła.

Ołówek na chwilę zawisnął w powietrzu. Cage odchrząknął i zaczął znów pisać.

- Listę rzeczy, które wybraliśmy - powiedział swoim zwykłym, opanowanym głosem.

Nic się nie stało. Po prostu trzymał koszulę, która przypadkiem wypadła mu z rąk. Cała reszta była jedynie wytworem jej bujnej wyobraźni.

- Czy nie powinniśmy poczekać na kogoś?

- Hildy wystawi mi rachunek. Pewno poszła na ryby.

- Na ryby? - Z radością skonstatowała, że jej głos też brzmiał już normalnie. - Nie zamknęła sklepu i siedzi gdzieś z wędką?

Podpisał się zamasyście pod rachunkiem.

- Hildy codziennie łowi ryby i zawsze zostawia drzwi otwarte na wypadek, gdyby ktoś czegoś potrzebował. To jest mała miejscina. Masz. Będziesz niosła część rzeczy.

Podał jej kalosze. W tym momencie popatrzył na nią uważnie i wziął je z powrotem.

- Na tyłach jest łazienka - powiedział z cieniem uśmiechu na twarzy. Wyciągnął ze stosu jakieś ubrania i tenisówki. - Ostatnia, jaką tu zobaczysz. Skorzystaj z okazji, a ja zaniosę resztę do jeepa.

Zdażył dojść do połowy sklepu, nim zaczerwieniła się jak rak, wytrącona z równowagi jego bezceremonialnością.

Łazienka była mikroskopijna. Niemniej wolała ją od wygodki pod lasem, przy której mogła uchodzić za szczyt luksusu. Umyła się z grubsza nad archaiczną umywalką na postumencie. Dopiero wtedy włożyła nowe ubranie, wyszczotkowała włosy i poprawiła makijaż.

Pięć minut później maszerowała do jeepa, niosąc w ręku miejskie ubranie, symbol dawnego "ja". Halkę i rajstopy skrzętnie ukryła w złożonym kostiumie. Na palcach zawiesiła eleganckie szpilki.

Włożyła czarny podkoszulek, a na to brudnozieloną koszulę. Nogawki sztywnych, płóciennych spodni podwinęła do połowy łydek, żeby się nie przewrócić. Lśniące białą, nowe tenisówki były zaskakująco wygodne.

W swoich własnych oczach wyglądała śmiesznie w tych zbyt obszernych ubraniach. Wiedziała jednak, że niektórych mężczyzn wzrusza podobieństwo do zagubionej sierotki Marysi. Zastanawiała się, jakie wrażenie zrobi na Cage'u.

Kiedy wsiadła do jeepa, raczył rzucić na nią okiem, ale nie zdobył się ani na jedno słowo komentarza.

- Gotowa? - spytał krótko. Kiwnęła głową, a on ruszył z piskiem opon.

W czasie jazdy po wyboistej drodze, złościła się, że nie powiedział czegoś, obojętnie czego, na jej temat. W pewnym sensie zawsze polegała

na opinii mężczyzn. Służyli jako barometr, którym mierzyła stopień swojej atrakcyjności. Przed chwilą radykalnie zmieniła swój styl i była zawiedziona jego milczeniem. Bez wątplenia przyzwyczaiła się do komplementów, a może nawet bardziej do tego, że zawsze ją zauważano. Beau spojrzalby na nią tylko raz i na pewno zaśmiałyby się gardłowo, jak to zwykle robił. Usłyszałyby, że oczarowała go wdziękiem małej dziewczynki, która bawi się w przebieranie. No, ale Beau świetnie wiedział, jak traktować damę.

Chata sprawiała wrażenie jeszcze bardziej obskurnej niż przed wycieczką do miasta.

- Zanieś swoje rzeczy na górę i włóż kalosze - rozkazująco rzucił Cage w ciszy, która zapadła po wyłączeniu silnika. Była w połowie schodów, gdy dodał: -I zdejmij ten stanik. Upieczesz się żywcem, jeżeli będziesz miała na sobie chociaż jedną niepotrzebną rzecz.

Nie oglądając się, popędziła na górę, czerwona jak piwonia.

A więc nawet jeżeli tylko przelotnie na nią spojrzal, zauważył o wiele więcej, niż myślała. O wiele więcej, niż powinien - stwierdziła ze złością. Jak śmiał wystąpić z taką propozycją? Motywy, które nim kierowały, były w ogóle nieistotne. Jeżeli uważał, że go posłucha, to się grubo mylił.

Pochylona nad łóżkiem, układała swój kostium.

- Masz coś do związania włosów?

Aż podskoczyła na dźwięk jego głosu. Ani jeden schodek nie skrzypnął ostrzegawczo. Poruszał się bezszelestnie. Stał teraz w drzwiach i obserwował ją. Światło padało z tyłu, więc nawet nie widziała zbyt dobrze jego twarzy, która pozostawała w cieniu.

- Gdzieś mam jakąś spinkę - powiedziała. Uklękła na podłodze i zaczęła grzebać w walizce. - O, już znalazłam.

- Dobrze. Zepnij włosy, a potem włóż kapelusz. Na dole opsiukam cię aerozolem.

Z grymasem niezadowolenia zrobiła koński ogon na czubku głowy. W drzwiach nikogo już nie było, jakby nigdy tam nie stał.

Wciągnęła długie kalosze, złapała kapelusz leżący na łóżku i energicznym krokiem zeszła po schodach. Czekał na dole z puszką preparatu o zapachu odstręczającym owady.

- Włóż kapelusz i zamknij oczy.

Postąpiła zgodnie z poleceniem. Zadrżała, gdy poczuła zimny spray na szyi i dłoniach, a w nosie jego obrzydliwy smród. Kiedy skończył, odsunęła się na bok, by uciec od największego stężenia chemikaliów. Zakasłała.

- To okropne - żaliła się.

- Zgoda. Ale konieczne. Muchy i moskity pewno śnią o takich blondynkach z jasną skórą.

- Dlaczego ja muszę mieć długie rękawy i kapelusz, a ty nie? - spytała.

Mruknął coś cicho pod nosem i odszedł. Poczowała się bardzo głupio. Niepotrzebnie go pytała.

- Chodź - rzucił przez ramię.

Kilkoma krokami przemierzył wolną przestrzeń wokół chaty i zniknął w zielonej gęstwinie. Pędem ruszyła za nim, póki drgające paprocie i liście krzaków znaczyły jego drogę.

Gęste poszycie tworzyło jedynie wąski krąg dookoła domu. Kiedy znaleźli się po jego drugiej stronie, bez trudu szli między olbrzymimi dębami i mahoniami, których pełne korony tworzyły dach zasłaniający niebo. W ich cieniu nie mogły rosnąć inne, mniejsze rośliny.

Było ciemno, chłodno i zadziwiająco cicho. Stąpali po twardej i zupełnie suchej ziemi. W momencie gdy zaczęła się zastanawiać, po co właściwie włożyła kalosze, jej stopa uwięzła w błocie. Cage stanął, gdy głośno krzyknęła ze strachu.

- Będzie jeszcze gorzej - ostrzegł. - Zaraz zaczniemy brnąć po kolana w wodzie.

Opędzała się od upartego moskita, bardziej odpornego na spray przeciw owadom niż ona.

- Dlaczego?

- Bo to tylko wyspa na morzu bagien. Prawdę mówiąc, cały park jest taki. Milion wysepek na olbrzymim mokradle.

Po kilku chwilach wyłonili się nagle z ciemnego lasu na zalaną słońcem równinę. Stała oślepiona blaskiem, a po chwili wyrwało jej się ciche, pełne podziwu: „och!”

Jak okiem sięgnąć, rozciągał się ocean giętkiej, falującej trawy. Zasłaniała całkowicie wodę, nad którą wyrastała. Jej źdźbła połyskiwały w słońcu, niczym tysiące małych fajerwerków. Oczarowana widokiem, Melanie wyprzedziła Cage'a o parę kroków i natychmiast zapadła się w wodę aż po krawędzie kaloszy. Nim zdążyła otworzyć usta, by krzyknąć z przerażenia, objął ją w talii i przeniósł na stosunkowo suchy teren.

- Możesz iść obok mnie - powiedział. - Za mną będzie znacznie lepiej, ale nigdy, przenigdy nie idź przede mną.

Patrzyła na niego wytrzeszczonymi niebieskimi oczami. Była równie zaskoczona swoją nieoczekiwaną przygodą, jak jego szybką reakcją. Kiwnęła w milczeniu głową.

- Zaczynam się zastanawiać, czy nie powinienem cię wziąć na smycz.

Odepchnęła jego ramiona i oparła dłonie na biodrach.

- Jestem zdolna zachowywać się zgodnie z każdą, stosunkowo prostą instrukcją - odpaliła. - Pod warunkiem, że w ogóle raczysz mnie poinformować, co powinnam robić.

Cały wysiłek woli skupiła na tym, by nie spuścić oczu pod wpływem jego spojrzenia.

- Już miałaś najważniejszą lekcję: woda jest wszędzie. Po tej równinie można spokojnie chodzić w porze suchej, kiedy, na północy panuje zima.

Teraz, w porze deszczowej, większość parku jest grzęzawiskiem, nawet jeżeli teren wygląda na bezpieczny.

- Rzeka trawy - mruknęła, przypominając sobie to sformułowanie z opisu w przewodniku, który niedawno przeczytała.

- Właśnie, i jeżeli nie wiesz, którędy iść, nie zbaczaj ze śladów tego, kto wie, albo stój w miejscu. Inaczej będziesz co chwila tonąć w bagnie.

- A więc jak dostaniemy się na drugą stronę? - westchnęła z rezygnacją.

- Tak samo jak przez rzekę. Przepłyniemy. - Odwrócił się i poszedł wzdłuż brzegu wysepki. Nawet nie spojrzał, czy Melanie idzie dokładnie jego śladem. Oczywiście nie ryzykowała. Mimo to czułaby się pewniej, gdyby miała świadomość, że ktoś jej pilnuje.

Potykała się, ale brnęła za nim, ostrożnie stawiając stopy. Tylko od czasu do czasu podnosiła wzrok, by spojrzeć na jego szerokie plecy, na mięśnie widoczne pod cienkim podkoszulkiem.

Z satysfakcją zauważyła, że mokry trykot przylegał do jego kręgosłupa. Jej koszula też lepiła się do pleców. Reagowali tak samo. Od razu stał się w jej oczach bardziej ludzki.

Nie chłodził ich nawet najmniejszy powiew. Poruszali się jak w saunie, w lepkim, niemal gęstym powietrzu. Po paru minutach Melanie oddychała ustami, a kalosze ciążyły jej niemiłosiernie.

- Dokąd idziemy? - spytała. Rozsunęła koszulę na piersi. Była zła na siebie za swój upór. Nie zdjęła stanika, który teraz obcierał jej skórę.

- Już doszliśmy - oznajmił i raptem stanął. Uniosła wzrok. Zobaczyła małą lagunę, wcinającą się w wysepkę porośniętą drzewami. Na końcu spostrzegła mały, drewniany pomost. Był to dość niecodzienny widok w takiej gęstwinie roślinności. Równie dziwacznie wyglądała kołysząca się obok łódź.

- O jejku! - jęknęła Melanie, rozpoznając w niej kształt miejscowej konstrukcji poduszkowca. Były one po prostu platformami, do których przymocowano olbrzymie wiatraki o średnicy dwukrotnie większej niż wysokość człowieka. Widziała w telewizji, jak z szaleńczą prędkością mkną po płytkiej wodzie. Pasażerowie, z obowiązkowo zapiętymi pasami, siedzieli całkowicie odsłonięci na krzesłach przyśrubowanych do pokładu.

- Jechałaś kiedyś czymś takim?

Pokręciła przecząco głową, potulnie ruszyła za nim i weszła na pokład. Kiedy łódź zakołysała się pod ich ciężarem, stanęła na szeroko rozstawionych, sztywnych nogach, by zachować równowagę.

- Ty usiądziesz tutaj, z przodu - powiedział i ściągnął płócienny pokrowiec z krzesła tuż obok burty.

Kątem oka spostrzegła, że coś poruszyło się na siedzeniu. Cage odskoczył do tyłu, przez co niemal wepchnął ją do wody. Błyskawicznie chwycił ją w ramiona i przyciągnął do siebie. Zamarła. Jej dłonie odruchowo zacisnęły się na jego barkach, a serce zaczęło walić jak oszalałe.

- Nie ma się czym przejmować - oznajmił stłumionym głosem. Po prostu go spłoszyliśmy.

- Kogo spłoszyliśmy? - szepnęła zdezorientowana. Jej spojrzenie powędrowało za jego wzrokiem do krzesła, na którym miała usiąść. Zesztywniała i szeroko otwartymi oczami obserwowała ułożonego w zwoje długiego, brunatnego węża. Powoli ześlizgnął się na pokład, a następnie do wody.

- O mój Boże! - jęknęła. Oparła się o jego piersi.

- Chyba mówiłem ci, żebyś zdjęła stanik. Więcej nie słyszała.

Zemdlała.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wszystko docierało do niej jak przez mgłę: ciche bzyczenie owada, głos ptaka dobiegający z oddali i delikatny jak westchnienie szum traw. Te dźwięki powoli budziły pozostałe zmysły. Znow czuła gorąco i ciężar wilgotnego powietrza. Widziała blask słońca, padającego na jej przymknięte powieki. Otworzyła oczy i natychmiast zmrużyła je oślepiąca światłem. W końcu skupiła uwagę na ostrych rysach twarzy Cage'a, który pochylał się nad nią. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że leży na jego kolanach.

- Co się stało? - wymamrotała, próbując jak najszybciej wstać.
- Najwyraźniej nie lubisz węży.

Usiadł w pozycji lotosu, a jego tors kiwał się lekko w rytm kołysania łodzi. Melanie spojrzała na krzesło, a następnie na pokład.

- Nie ma go - uspokajał ją. - Ale i tak był nieszkodliwy. Zwykły wąż wodny. Niejadowity. Nie miałaś powodów do strachu.

Z trudem stłumiła histeryczny chichot. Nie zemdląca przecież dlatego, że wąż był jadowity. Zemdląca po prostu dlatego, że to był wąż.

- Nienawidzę węży.
- To co, do cholery, robisz w Everglades?! Tu jest ich pełno.
- Nie przyjechałam, żeby oswajać zwierzęta - broniła się zajadle. -

Chyba mogę poznać ten park, nawet jeśli nie chcę dzielić krzesła z gadem!

Omiótł ją szybkim spojrzeniem i skierował wzrok na morze traw wokół nich. Obserwowała jego profil na tle zieleni. Powoli jej gniew mijał. W jego twarzy dostrzegła niewytłumaczalny smutek, kryjący się pod pozorną władczością i obojętnością.

- Obiecuję, że już nie zemdleję - powiedziała cicho. Nie mogła zrozumieć, po co zrobiła takie przyrzeczenie.

Popatrzył na nią, jakby dopiero jej głos przypomniał mu o jej istnieniu.

- Co ty tu właściwie robisz? - spytał gwałtownie. - Jak Parker przekonał cię, żebyś przyjechała?

Spuściła oczy. Była tak dumna, gdy Beau poprosił, by go reprezentowała. Głęboko wierzyła w sens tego przedsięwzięcia.

- Nie musiał mnie przekonywać - powiedziała cicho. - Sama chciałam. Uważałam, że będę robiła coś ważnego, pożytecznego.

- A kiedy powiedział ci prawdę?

- Dzisiaj rano - wymamrotała. - Na lotnisku. Tuż przed odlotem.

Skurczyła się pod jego wzrokiem. Mógł dojść tylko do jednego wniosku. Wsiadła do samolotu i tym samym stała się współnikiem Beau.

- Nie chciałam robić sceny... - zamilkła na chwilę pod wpływem jego spojrzenia. - On jest moim narzeczonym - dodała, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Czy ten zaszczyt oznacza, że nie możesz mu się sprzeciwić?

Melanie zagryzła usta.

- Nie. Ale nie wypada wywoływać publicznych awantur, zwłaszcza jeśli dotyczą jego zdania w kwestiach politycznych. Ja w ogóle nie znam się na polityce.

- Nie musisz, by wiedzieć, co jest słuszne.

- Wiedza o tym, co jest słuszne, i odwaga, by postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem, to dwie różne rzeczy, panie Cage. W rodzinie Brooksów nie ma buntowników.

Odniosła wrażenie, że spojrzął na nią tak, jakby powiedziała coś niewiarygodnie głupiego. Nie była całkowicie pewna, czy istotnie jej wypowiedź zaskoczyła go, bo odwrócił się bardzo szybko.

- Ruszajmy - powiedział oschle. - Masz dużo do zobaczenia przez te trzy dni. Usiądź z przodu i zapnij pasy. Dzisiaj obejrzymy najbliższą okolicę, żebyś poznała sam nastrój i atmosferę parku.

Z trudem kryjąc zdenerwowanie, Melanie usadowiła się na fotelu. Przymocowała pas i chwyciła poręcze tak mocno, że jej dłonie zbieleły. Cage odcumował, a potem wszedł na platformę dla pilota, która znajdowała się wysoko nad pokładem, tuż za jej plecami. Patrzyła przez ramię, jak sprawdza wskaźniki. Nagle uniósł wzrok. Odwróciła się szybko, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku.

- Nie będziemy mogli rozmawiać z powodu warkotu silnika. Kiedy minimy ten pas traw, dopłyniemy do miejsca, gdzie lubią przebywać aligatory. Tam się zatrzymamy.

Wytrzeszczyła ze strachu oczy i już otwierała usta, by zasypać go gradem pytań. Czy aligatory jedzą ludzi? Czy są zdolne wdrzeć się na pokład? Czy łódź może się przewrócić? Nie zdążyła zadać ani jednego. Silnik ryknął i ruszyli z takim impetem, że pęd wcisnął ją w siedzenie.

Po paru chwilach, kiedy się przekonała, że poduszkowiec jest stabilny, a Cage potrafi nim kierować, jej strach ustąpił miejsca fascynacji. Trawa ugięła się pod nimi, a potem stawała za rufą. Powiew powietrza, chociaż gorący, przynosił wyraźną ulgę. Podniosła głowę i śmieszny kapelusz zjechał jej na plecy. Wisiał teraz na czarnej szarfie, którą zawiązała pod brodą.

Przez jakiś czas miała wrażenie, że trawa ciągnie się aż po horyzont, że od drzew w oddali dzielą ich całe kilometry. Nagle w bujnej roślinności spostrzegła głęboki, ciemny kanał, obramowany po obu stronach liliami wodnymi. Trawa zniknęła, a na jej miejscu pojawiły się gęste zarośla.

Cage zmniejszył obroty silnika i wolno sunęli do przodu.

Oczarowana rozglądała się wokół. Spłoszyli stadko ptaków brodzących na długich, tyczkowatych nogach. Everglades wcale nie było takie straszne. Nie przypominało w niczym ciemnej, złowroziej dżungli z jej wyobraźni. Była tu przestrzeń, słońce, bujna, egzotyczna roślinność i śnieżnobiałe ptaki, szybujące na tle błękitnego nieba.

Za ostrym zakretem strumień zmienił się w wąski przesmyk. Po obu stronach zarastały go gęste krzaki, pochłaniające całe światło.

Minęli jeszcze jedno stadko wodnych ptaków o białym upierzeniu upstrzonym różowymi plamkami. Zamachały dużymi skrzydłami, gdy mijają je poduszkowiec, ale nie odfrunęły. Cage wyłączył silnik i nagle zapanowała niesamowita cisza.

- Teraz pozwolimy nieść się prądowi - powiedział cicho. - Właśnie o tym bagnie ci mówiłem. Miej oczy szeroko otwarte, a zobaczysz wielu ciekawych lokatorów, jak ten na przykład.

Wskazał pofałdowany, piaskowy wzgórek na prawym, nasłonecznionym brzegu.

- Który? - szepnęła.

Pochyliła się we wskazanym przez niego kierunku. Ze zmarszczonymi brwiami wypatrywała jakiegoś zwierzęcia, ale nic nie widziała. Nagle jeden ze wzgórków otworzył długą paszczę i pokazał rząd

białych, ostrych zębów, które połyskiwały w słońcu. Z jękiem opadła na fotel.

- Olbrzym. - Powiodła wzrokiem od rozwartego niby w uśmiechu pyska przez całe, mierzące ponad trzy metry cielsko, aż do koniuszka silnego, umięśnionego ogona. Jego wyłupiaste oczy i gruba, gruzłowata skóra upodabniały go do smoka z ilustracji w książce z bajkami, którą miała w dzieciństwie.

- Niezły okaz - zgodził się Cage. Wcale go nie niepokoił fakt, że łódź powoli dryfuje do brzegu.

Kolejny wzgórek otworzył paszczę i zawył przeraźliwie. Melanie mocniej zacisnęła dłonie na poręczach fotela.

- Powinniśmy chyba odpłynąć - syknęła, nie spuszczając oczu z piaszczystego brzegu.

Doliczyła się siedmiu aligatorów. Nagle jeden z nich wskoczył do wody tak błyskawicznie, że zobaczyła tylko tuman kurzu, a potem usłyszała plusk wody. Teraz płynął w ich kierunku.

- Chyba wolałabys siedzieć na górze ze mną - spokojnym głosem zauważył Cage.

Nie musiał jej tego dwa razy powtarzać. W panice szybko odpięła pas i wdrapała się na platformę. Nawet nie zauważyła jego zdziwienia. Stała z boku i mocno chwyciła go za ramię.

- Czy tutaj jesteśmy bezpieczni? - spytała bez tchu. Utkwiła przerażony wzrok w aligatorze, który powoli zbliżał się do łodzi. Tylko jego oczy i nozdrza wystawały nad wodę. Pod jej powierzchnią mogła obserwować miarowe ruchy jego ogona.

- Bezpieczni? - Popatrzył na nią, nie rozumiejąc.

- Oczywiście. Po prostu myślałem, że z wysoka będziesz go lepiej widziała. To wszystko.

- Ach tak - powiedziała cichutko. - A ja myślałam... myślałam...

- Że on wczółga się na pokład i cię pożre, tak?

Zacisnęła wargi i przemilczała tę zaczepkę. Obserwowała gada, który opływał ich dookoła. Bez wątpienia Uczył na ucztę.

- Nie będę cię przekonywał, że tutejsze aligatory są potulne jak baranki. W ciągu ostatnich kilku lat parokrotnie zaatakowały turystów, ale nie wchodzą do łodzi. Po prostu trzymaj się z dala od wody, a wszystko będzie w porządku.

- Dobrze - mruknęła. Mimo to, mocno ścisnęła jego ramię, gdy aligator podpłynął tak blisko, że zasłoniła go burta.

- Czego się boisz? Nie pozwolę, by stała ci się krzywda.

Rozluźniła uścisk, ale nie puściła go.

- Siadaj koło mnie. Od razu będziesz miała lepsze samopoczucie. - Przesunął się na ławce, by zrobić jej miejsce.

- Wolę stać.

- Siadaj. Zaraz zapuszczę silnik, stracisz równowagę i wpadniesz do wody...

Posłuchała go natychmiast. Przycupnęła na samym brzegu, możliwie jak najdalej od niego. Cage złapał ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Spokojnie - mruknął. - Należę do łagodnych stworzeń, które nie gryzą.

Wywołało to nikły uśmiech na jej twarzy. W tym momencie łódź ruszyła gwałtownie do przodu. Znow chwyciła go za ramię, by nie spaść.

- Przepraszam.

Choć zwolnił natychmiast, cofnęła dłoń dopiero po chwili.

W milczeniu płynęli wolno krętym korytarzem. Żaden mężczyzna, prócz Beau, nie był tak blisko niej. Czuła każde drgnienie mięśni jego uda i ciepło, bijące od jego ciała. Kątem oka widziała, jak przy każdym oddechu unosi się jego pierś. Nawet wyobrażała sobie, że ponad wyciem silnika słyszy bicie jego serca. Ukradkiem spojrzała na jego twarz. Nie dostrzegła w niej niczego, prócz obojętności, co ją poważnie zmartwiło. Siedzieli jak sardynki w puszcze, a na nim nie robiło to najmniejszego wrażenia. Zaczęła ostentacyjnie rozglądać się po okolicy.

- Gdzie aligator?

- Dawno został w tyle. Za to na tamtej skale wygrzewa się w słońcu mokasyn. Zapamiętaj sobie, jak wygląda. Należy go obchodzić z daleka.

Zupełnie zapomniała o jego bliskości. Pochylona do przodu, oglądała brązowe zwoje węża na wystającym głazie.

- Przypomina tego z krzesła - stwierdziła zdenerwowana. - Nigdy ich od siebie nie odróżnię.

- Można rozpoznać mokasy na po wewnątrz jego paszczy. Jest cała biała. Niektórzy nazywają go bawełnianym pyskiem.

- Wspaniale! Każdego węża muszę poprosić, żeby łaskawie otworzył buzię. Potem dopiero zagram mu do tańca na flecie.

Po raz pierwszy ujrzała na jego twarzy pogodny uśmiech. Co więcej zobaczyła go też w jego oczach. Wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Choć nadal stanowczy i poważny, nie był już tak odpychająco surowy, raczej ciepły i pociągający.

Poduszkowiec powoli zbliżał się do brzegu. Melanie, jak zauroczona, obserwowała usta Cage'a. Były tak blisko... Przeraziły ją własne myśli. W

tym momencie tępy dziób łodzi zarył się w roślinności na brzegu. Wstrząs zrzucił ją z fotela. Cage szybko chwycił ją w ramiona.

- Cholera! - Odsunął się, by zająrzeć jej w twarz. - Nic ci się nie stało?

Pokręciła przecząco głową, bardziej oszołomiona jego bliskością niż swoim upadkiem. Czowała jego ciało, twarde mięśnie torsu. Pogłaskała ją uspokajająco po policzku. Zatrzymał na chwilę wzrok na jej ustach. To przelotne spojrzenie było dla Melanie równie głębokim przeżyciem, jak pocałunek.

Gdyby mogła myśleć rozsądnie, wiedziałaby, jak niebezpieczne są jej dziwne doznania. Narzeczona Beau nie powinna tak reagować na dotyk tego dziwnego mężczyzny o egzotycznej urodzie. Była równie daleka od rozumnej oceny sytuacji, jak od dawnego życia w cywilizowanym, klimatyzowanym świecie.

Pochylił głowę i zasłonił sobą słońce. Gdyby tylko trochę poruszyła wargami, ich usta otarłyby się o siebie. Raptem odsunął ją na odległość ramienia. Jego twarz pociemniała.

- To szaleństwo - mruknął. Chwycił za drążki sterownicze. - Po głębszym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że będziesz bezpieczniejsza na dolnym pokładzie.

- Stanę za tobą i przytrzymam się oparcia ławki. Nie będę przeszkadzać - obiecała. Nie chciała schodzić na dół. Tłumaczyła sobie, że to ze strachu przed aligatorami.

Minęła dłuższa chwila, nim skinął głową potakująco. Nawet na nią nie spojrział. Obserwował wskaźniki.

Przepełnęli tego dnia całe kilometry. Cały czas ścisnęła w dłoniach oparcie krzesła. Tylko milimetry dzieliły jej palce od jego szerokich,

opalonych ramion. Ciagle patrzyła na jego połyskliwe włosy. Były jedwabiste i nieprawdopodobnie czarne. Powstrzymywała się, by ich nie pogłaskać.

Od czasu do czasu Cage wyrywał ją z zamyślenia opowieściami o mijanych miejscach lub zwierzętach. Dopiero wtedy dostrzegała otaczający ją świat, pełen żółwi, węży, aligatorów i niezliczonych ptaków. Słyszała raczej brzmienie jego głosu, a nie słowa, którymi opisywał ich trasę, biegnącą płytkimi rozlewiskami, basenami wodnymi porośniętymi trzcina i wieloma krętymi strumieniami. W pewnym momencie zapomniała o Beau, o swoim pokoju hotelowym w Tallahassee, plantacji w Georgii. Nie pamiętała już o świecie pełnym samochodów, komputerów i polityki. Przez te krótkie chwile żyła terażniejszością, w której istniał jedynie Benjamin Cage i niezmierny obszar dzikich mokradeł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po południu żar nieco zelżał. Benjamin zwolnił obroty silnika. Wskazał pomost w oddali. Melanie uśmiechnęła się na widok jedynego miejsca w Everglades, które już mogła rozpoznać. Zaczęła myśleć o prysznicu, jakimś w miarę wygodnym krześle, a przede wszystkim o jedzeniu. W czasie wycieczki wypili mnóstwo wody o metalicznym smaku. Cage nosił ją w pojemnikach przytroczonych do paska. W skrzynce na pokładzie były różności do przegryzania. Toteż niemal bez przerwy coś żuli. Mimo to czuła głód.

Podpłynął do pomostu. Machnął ręką w stronę lin, leżących na pokładzie.

- Złap jedną i przymocuj łódź.

- Co?! - Melanie wytrzeszczyła oczy, jakby mówił do niej w obcym języku.

- Powiedziałem, żebyś złapała jedną...

- Słyszałam, ale nie rozumiem.

- Przywiąż poduszkowiec - rzucił przez ramię. Melanie zeszła na pokład, energicznie podniosła linę i niepewnie spojrzała na wąski pas czarnej wody dzielący ją od pomostu.

- To mniej niż pół metra - powiedział zniecierpliwiony. - Pośpiesz się. Nie mogę całą wieczność trzymać łodzi w jednym miejscu.

Ścisnęła linę, jakby od siły uchwytu zależało jej życie. Nabrała powietrza i skoczyła. Zamarła, gdy drewniane deski skrzypnęły i ugięły się pod nią. - A teraz przymocuj.

Spojrzała na niego z rozpaczą.

- Omotaj linę wokół kołka... tej metalowej rzeczy tuż obok twojej lewej stopy.

Zrobiła, jak kazał. Lina zwisała luźno, dotykając powierzchni wody. Łódź odpłynęła od brzegu. Cage z rezygnacją pokręcił głową, wyłączył silnik i przykrył pokrowcami siedzenia. Bez wysiłku skoczył na molo z drugą liną w ręku. Przykucnął przy kołku.

- Popatrz! - Jego zręczne palce zrobiły ścisły węzeł. Pociągnął za koniec i momentalnie węzeł zniknął. - Widzisz. To łatwe. Teraz ty spróbuj.

Przyklękła obok niego i po chwili miała w ręku całkowicie splątaną linę. Oddała mu ją, bezradnie wzruszając ramionami.

- Jednak chyba nie nadaję się na chłopca pokładowego.

- Trochę cierpliwości. Spróbuj jeszcze raz. - Nie spojrzał nawet na skłębioną linę, którą chciała mu oddać. Trzy kolejne próby przyniosły równie żałosne rezultaty. Wtedy dopiero popatrzył na nią krytycznie. - Myślałem, że wszystkie damy z Południa są świetnymi amazonkami. Ty nie jeździsz konno?

- Oczywiście, że jeżdżę. Już od czasu, gdy miałam...

- No więc, w taki sam sposób przywiązuje się konia do czyszczenia albo osiodłania. - Na jej twarzy nie dostrzegł żadnych oznak wskazujących na to, że zrozumiała, o czym mówił. - Czyżbyś nigdy nie czyściła ani nie siodłała swojego konia? Zawsze był ktoś inny do wykonania brudnej roboty?

- A co w tym złego? - odparowała, zdenerwowana jego tonem.

- Nic i wszystko. Zresztą nieważne. - Podał jej koniec liny. - Nie odejdziemy stąd, póki się nie nauczysz.

Melanie westchnęła. W końcu udało jej się zrobić coś, co przypominało jego węzeł. Musiała powtórzyć wszystkie czynności jeszcze parę razy, nim zyskała jego aprobatę. Z podziwem popatrzyła na swoje dzieło. Lina zaciskała się na kołku, gdy tylko łódź odpływała.

- Dobry, nie? - Spojrzała na niego. Obserwował ją z dziwnym wyrazem twarzy.

- Tak, Melanie. Świetny - powiedział cicho.

Rozpromieniła się słysząc pochwałę.

- Chodź - powiedział szorstko. Osłonił oczy, by popatrzeć na słońce.

- Mamy tylko parę godzin, nim się ściemni.

Szybkim krokiem zszedł z pomostu i zniknął w bujnej roślinności. Kompletnie zaskoczona, rzuciła się jego śladem, by nie stracić go z oczu. Poprowadził ją wzdłuż brzegu i dalej przez las. Tylko biegnąc truchtem mogła za nim nadążyć. Nawet nie sprawdził, jak sobie radzi. Narzucił tak szalone tempo, że po chwili nie mogła złapać tchu.

Czy on mnie bierze za maratończyka? - pomyślała ze złością.

Dreptała z uporem, zbyt zdyszana, by się skarżyć. Z wściekłością patrzyła, jak szybko odnajduje sobie tylko znaną ścieżkę między olbrzymimi pniami wiekowych drzew. W ich cieniu było, co prawda, o wiele chłodniej niż na otwartej przestrzeni, ale równie parno. Po chwili trykotowa bluzeczka przylgnęła do jej pleców. Zdjęła koszulę z długimi rękawami o przewiązała ją w talii. Poczowała się znacznie lepiej.

Prawie natychmiast, nie wiadomo skąd, nadleciała chmara maleńkich, kąsających muszek. Próbowwała się od nich opędzić. Ciszę leśną coraz częściej przerywały głośne plaski.

- Ubierz się.

O mało na niego nie wpadła. Zajęta walką z muszkami, nie zauważyła, że stanął.

- Przecież jest tak gorąco - jęknęła i z zazdrością spojrzała na jego krótkie rękawki. - Dlaczego te robale nie siadają na tobie?

- Jestem biznesmenem, nie entomologiem. Może podobają im się twoje perfumy. - Wzruszył ramionami. Odwiązał jej koszulę i przytrzymał za plecami. Posłusznie włożyła ręce w rękawy. - Podobno żeński hormon przyciąga owady.

Zaczerwieniła się i otuliła szczelnie koszulą. Obserwował jej dłonie, gdy zapinała guziki. Napotkał jej wzrok, szybko obrócił się na pięcie i odszedł.

Nie minęło pięć minut, gdy dotarli do chaty. Melanie stanęła u stóp schodów. Zlana potem, nie mogła złapać tchu. Zmęczenie fizyczne było uczuciem całkowicie jej obcym.

- Co się stało? Na co czekasz? - Chciał przepuścić ją pierwszą.

- Mam ochotę zmusić cię, byś mnie zaniósł na górę. Dostałam taki wycisk... - Nie dokończyła, bo chwycił ją w ramiona i zaczął wbiegać po schodach. - Rany boskie! Postaw mnie. Co robisz?

- Przestań się wiercić! - Otworzył drzwi ramieniem. Wkroczył do środka niczym pan młody, który przenosi żonę przez próg wspólnego domu.

- Nie wygłupiaj się. Puść mnie.

Spojrzał jej prosto w oczy. Nie rozluźnił uścisku.

- Benjamin... słuchaj...

- Dlaczego zdejmowałaś kapelusz? Słońce spiekło ci twarz. -
Postawił ją i szybko odsunął dłonie, jakby się oparzył. - Musimy wziąć prysznic, zanim się ściemni. Najpierw ty.

Przytaknęła bez słowa i poszła w stronę łóżka, gdzie leżały jej bagaże. Cały czas czuła na sobie jego oczy.

- Mydło i ręczniki są w skrzyni. Pamiętasz, jak obsługiwać prysznic?

- Pamiętam. - Grzebała w walizce. Nareszcie usłyszała jego oddalające się kroki. Szedł w kierunku prowizorycznego stołu przy przeciwległej ścianie.

Ze zdumieniem przeglądała ubrania, które przywiozła. Prawie wszystkie były zupełnie bezużyteczne. Co mogła włożyć wieczorem w prymitywnej chacie bez bieżącej wody i elektryczności? Wyszywaną perełkami sukienkę koktajlową? Tę głupią suknię plażową z obniżoną talią i marszczoną spódnicą, która zdaniem Beau świetnie wychodziła na zdjęciach? W końcu wyciągnęła cienki jedwabny szlafrok i przerzuciła go przez ramię. Był luźny, z szerokimi rękawami i szalowym kołnierzem. Nigdy nawet nie przypuszczała, że w takim stroju wystąpi w towarzystwie. Zapakowała go z myślą o odpoczynku w zaciszu pokoju hotelowego. Teraz cieszyła się, że zamieni bure ubranie na coś wesołego, kolorowego.

Stała pod gankiem i długo rozglądała się wokół. Odgłosy zwierząt i ptaków były już jakby nieco stłumione. Rozżarzone w ciągu dnia słońce świeciło łagodniej. Jego promienie, przenikające przez liście olbrzymich drzew, mieniły się złociście. Połyskując skrzydłami, leniwie fruwały ważki wielkości dłoni. Olśniewały pięknnością nawet zwykłe muchy plujki z opalizującym odwłokiem.

Melanie westchnęła ciężko. Nigdy przedtem nie rozbierała się na dworze. Tym razem powstrzymywał ją nie tylko wstyd. Brakowało jej ścian, które zapewniały bezpieczeństwo. Nerwowo poruszyła ramionami. Drażniła ją lepka, przeupocona koszula. Podjęła szybką decyzję i po chwili ubranie leżało na ziemi.

Mimo gorąca dostała gęziej skórki. Raptem zachichotała. Przypomniała sobie, że już kiedyś była nago na dworze. Miała wtedy trzy lub cztery lata. Po kąpieli w basenie uciekła niani, zrzuciła kostium i zaczęła biec przez olbrzymie trawniki przy rodzinnym domu. Piszcziała z radości. Czowała się wspaniale swobodna. Nareszcie żadne ubranie nie kępowało jej ruchów i nie osłaniało od powiewu wiatru. Jeszcze pamiętała delikatnego klapsa w pupę i parę słów reprimendy, których musiała wysłuchać za tak niestosowne dla małej panienki zachowanie. Już nigdy więcej nic podobnego nie zrobiła. Do dzisiaj.

Odkręciła kurek. Ciepława woda zmoczyła jej włosy i cienkimi strużkami spływała po ciele. Słyszała nad sobą kroki Cage'a, który chodził po pokoju. Zakręciła kurek i zaczęła się namydlać. Kolory tęczy w bąbelkach piany zwabiły ważkę. Przysiadła na ramieniu Melanie, która delikatnie dotknęła krawędzi jej skrzydła. Nie odleciała. Zachwycona, że tak małe stworzonko w ogóle nie jest płochliwe, czekała, aż ważka sama odfrunie. Dopiero wtedy zaczęła spłukiwać mydło.

Gdy weszła do chaty, Cage powiódł spojrzeniem po kolorowym szlafroku, zatrzymał wzrok na kapiących wodą włosach i w końcu popatrzył na jej twarz.

- Dużo czasu ci to zajęło.

- Przepraszam - powiedziała zawstydzona.-Ważka usiadła mi na ramieniu. Wyobrażasz sobie! Sama usiadła mi na ramieniu! - Przerwała te dziecinne zachwyty na widok dziwnego wyrazu jego twarzy. - Po prostu nie chciałam jej wystraszyć - dodała niezręcznie.

Ku jej zdumieniu uśmiechnął się.

- Zaraz wrócę. - Zabrał swoje ubranie z krzesła i przeszedł koło niej tak blisko, że czuła ruch powietrza, gdy ją mijał. - Na stole jest dzban z wodą i coś do jedzenia. Poczęstuj się.

Nie musiał jej dwa razy zapraszać. Na szczęście już schodził na dół i nie usłyszał, jak zaburczało jej w brzuchu. Zostawił miskę pełną orzeszków ziemnych,talerz z plasterkami sera i krakersy kukurydziane. Nie jadła, tylko pochłaniała, a wszystko wydawało jej się niewiarygodnie smaczne. Po paru chwilach spostrzegła, że jeżeli nie poskromi apetytu, to nic nie zostanie dla Cage'a.

Właśnie skończyła pić lodowaty napój owocowy, gdy usłyszała ciche kroki na schodach.

- Mój Boże! - wykrzyknął, stając na progu z wzrokiem wbitym w pustą szklankę w jej ręku. - Pijesz jak szewc.

- Jedzenie było słonawe - wyjaśniła. Przyglądała mu się, w ogóle nie ukrywając swojej ciekawości.

Krople wody kapały z jego włosów na biały kołnierzyk koszuli. Stał boso w dopasowanych, spłowiałych dżinsach. Podeszedł do niej, wyjął szklankę z jej rąk. Patrzył na nią ze szczerym niedowierzaniem.

- Chyba już ten problem dzisiaj omawialiśmy. Jemy słone potrawy, bo człowiek się bez przerwy poci. Pijemy po nich wodę, a nie takie mieszanki.

- Sam mówiłeś, żebym się poczęstowała - powiedziała z wyrzutem.

- Miałem na myśli wodę w dzbanie.

- Och, przepraszam. Twój napój był naprawdę dobry. - Uśmiechnęła się szeroko. - Woda czy sok owocowy, co za różnica? Wszystko to płyny - oznajmiła wesoło. Z pewnym niepokojem zauważyła, że zrobiło jej się gorąco.

- Niewątpliwie, tylko że mój drink składał się w połowie z wódki.

Wypiłaś go duszkiem. Jak się czujesz?

- O jejku! Wódka?! W takim razie lepiej znoszę alkohol, niż myślałam. Samopoczucie mam świetne, aż za dobre. - Rozpaczliwie próbowała narzucić sobie powagę. - A co? Czyżbym wyglądała śmiesznie?

Nie wiedziała, po co zadała to pytanie. Nie mogła zebrać rozproszonych myśli.

- Wyglądasz...

- A zresztą nieważne. - W jej ustach całe zdanie zabrzmiało jak jedno słowo. - A zresztą nieważne - poprawiła się. - Wiem, jak wyglądam. Zanedbana, bez makijażu, z mokrymi włosami... Rany boskie, ależ tu gorąco! - Po chwili dodała wyniośle: - Ja w ogóle nie pijam alkoholu.

- Rzeczywiście?

- Oczywiście. Co najwyżej trochę wina do obiadu i nic poza tym, ponieważ... - Usiłowała sobie przypomnieć, dlaczego damy poprzestawały na jednym kieliszku wina do obiadu.

- Melanie...

- Benjamin... - zaczęła słodkim głosem.

- Usiądź. - Z politowaniem wzniosł oczy do góry. - Tam... dalej.

Przyniosę ci coś do jedzenia.

Przesadnie dostojnym krokiem podeszła do krzesła.

- Czy tak daleko wystarczy?

- Chyba nie - oznajmił, nie odwracając wzroku od blatu.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak melodyjnie brzmiał jego niski głos, mimo twardego północnego akcentu.

- Skąd pochodzisz? - spytała od niechcienia. Uniosła stopę, by podziwiać czerwony, aksamitny kapciuszek. Że też nigdy przedtem nie zauważyła, jak piękny miał kolor.

- Stąd. Z Florydy.

- Nie mówisz jak południowcy.

- Matka odeszła, gdy byłem dzieckiem. Ojciec rozpaczał. Nie mógł żyć tam, gdzie mieszkali razem, i przenieśliśmy się na północ, do Chicago.

- Matka zostawiła cię... tak po prostu? – Była wstrząśnięta, choć wszystko docierało do niej jak przez mgłę. Takie przeżycie musiało zostawić trwałe ślady na psychice dziecka. - Czy spotkałeś ją potem?

- Nie. Nigdy jej nie widziałem. Nie miałem od niej wiadomości, ani nie chciałem mieć - powiedział z goryczą.

- A twój ojciec? Nie próbował się z nią skontaktować?

- Mój ojciec był głupi - oznajmił sucho. Zaskoczyła ją pogarda w jego głosie. - Umarł, kiedy miałem czternaście lat, ale tak naprawdę jego życie skończyło się z jej odejściem.

- Kiedy wróciłeś na Florydę? - spytała z obawą, czy nie uzna tego za wścibstwo.

- Wyruszyłem autostopem w dniu, w którym pochowałem ojca.

- Czyli miałeś czternaście lat?

- To wystarczająco dużo. Nie przyznawałem się do wieku.

Pracowałem w gajach pomarańczowych, a w nocy się uczyłem. Kiedy skończyłem osiemnaście lat, miałem już własny gaj.

Melanie nie ukrywała zdziwienia. Dla niej taka samodzielność była czymś przerażającym. Miała dwadzieścia cztery lata i rano nie potrafiła nawet wybrać odpowiedniej sukienki. Beau wspominał o tym, że Cage zdobył pozycję i majątek własną, morderczą pracą. Dlatego chyba był tak zamknięty w sobie, tak odległy...

- Właściwie nie miałeś żadnego dzieciństwa...

- Koniec zwierzeń. Dajmy spokój przeszłości. Masz. Zjedz wszystko. Zrobię jeszcze kawę. - Postawił pełny talerz na jej kolanach.

Wzruszona jego opowieścią, widziała w nim chłopca, który, pozostawiony sam sobie, z dnia na dzień musiał wydorosnąć.

- Jedz! - powtórzył.

Nie próbowała już o nic pytać. Popatrzyła na talerz z plasterkami pieczeni na zimno.

- Niezła - pochwaliła, szczęśliwa, że znalazła pretekst do zmiany tematu. - Mam nadzieję, że nie upolowałeś tego w parku.

Roześmiał się cicho.

- To kurczak - wyjaśnił. - Marynowałem go w zalewie ziołowej, a potem upiekłem. Przywiozłem go z domu na pierwszą kolację z senatorem.

- Ach, tak... - Melanie spojrzała na małe marcheweczki i odcinające się od nich zielenią strączki fasolki szparagowej. Przypomniał jej, że to nie ona miała być jego gościem.

Przyszedł ze swoim talerzem i usiadł na kanapie. Jedli w milczeniu. Od strony kuchenki gazowej dolatywał aromat kawy.

Po drugiej filiżance Melanie całkowicie wróciła do siebie. W pokoju zrobiło się ciemno i Cage zapalił olejne lampki. Dymiły w pierwszej chwili, a potem wokół knotów powstały piękne, złote aureole. Jedna stała na blacie obok stosu brudnych talerzy, druga na małym stoliczku między krzesłem i kanapą, a trzecia przy łóżku.

- Jak się teraz czujesz? - spytał, dolewając jej kawy. Lampka migotała w leciutkich powiewach z okna.

Obserwowała grę światła i cieni na jego smagłej twarzy. Rozłożył ramiona na oparciu kanapy. Zgiętą w kolanie nogę postawił na siedzeniu.

- Jestem trzeźwa - odpowiedziała i dodała cicho: - Niestety...

- Dlaczego nieestety? - spytał z uśmiechem.

- Nie wiem. Może dlatego, że przez chwilę zapomniałam, kim jestem i co tu robię. Wydawało mi się, że uczestniczę we wspaniałej, dziecięcej przygodzie.

- Everglades jest synonimem przygody.

- Po jednym lub dwóch drinkach pewno tak. Na trzeźwo, dla takiej osoby jak ja, jest przerażającym, całkowicie obcym miejscem. Obawiam się, że kobiety z mojej rodziny nie uczono odwagi...

- Już dzisiaj powiedziałaś coś podobnego. To chyba kokieteria z twojej strony.

Spojrzała na niego pytająco.

- No a kobieta, po której odziedziczyłaś imiona? Trudno byłoby znaleźć odważniejszą.

- Odziedziczyłam je po swojej prapraprababce - zaczęła ostrożnie, nie wiedząc, do czego zmierza Cage.

- Kiedy mi się przedstawiłaś, zrozumiałem, że musisz pochodzić z tej samej rodziny. I to był dla mnie prawdziwy szok... Melanie Annabelle Brooks, żona Henry'ego Alberta Brooksa z Creek County w Georgii... Jakie były szanse na to, by ktoś z jej potomków zjawił się tutaj?

Melanie wytrzeszczyła ze zdumienia oczy.

- Nadal o niej mówią, oczywiście. To część...

- Kto mówi? - przerwała mu gwałtownie.

- Indianie z plemienia Seminolów. A ty myślałaś, że kto?

Słuchała z biciem serca. Całe życie szukała choćby najdrobniejszej informacji o kobiecie ze starego portretu. Nie mogła uwierzyć, że ktoś całkowicie obcy zaspokoi chociaż w części jej ciekawość.

- Rzeczywiście coś o niej wiesz?

- Tak. Tutaj ona jest legendą.

Zapadła cisza, w której słyszeli jedynie bzykanie owadów. Melanie miała wrażenie, że ciemność dżungli wdziera się do chaty. Zamarła z wzrokiem utkwionym w twarzy Cage'a.

- Opowiedz mi o niej - szepnęła.

- Ja mam ci opowiadać o twoich przodkach?! - Był zupełnie zaskoczony.

- Nic o niej nie wiem, prócz tego, jak wyglądała, i że mąż wykreślił jej imię z Biblii. Zimno mnie przechodzi, gdy o tym myślę. To tak, jakby chciał całkowicie wymazać jej istnienie.

- Niemożliwe! - Twarz Cage'a stężała. - Z drugiej strony, w tamtych czasach chyba tylko tego należało się spodziewać... A ty naprawdę nic o

niej nie słyszałaś? Nie ma żadnych rodzinnych opowieści? Żadnych anegdot? Pamiętników?

- Zupełnie nic. Znalazłam jej portret na strychu, kiedy byłam mała.

Tylko dzięki temu odkryłam, że ktoś taki istniał.

- Jak wyglądała?

- Tak jak ja... - Spuściła wzrok.

- Według legendy dała schronienie jednemu z wojowników Osceoli, gdy wojska rządowe ścigały ich w czasie powstania w 1835 roku...

Usiłowała przypomnieć sobie szkolne lekcje historii. Osceola? Kim był Osceola? W głowie miała pustkę.

- Mów dalej - zachęcała go.

- Wiesz o tym, że tu była? - spytał cicho, obserwując jej twarz.

- Tutaj?

- Na terenie obecnego parku Everglades.

- Ależ to nonsens! Tyle kilometrów od Creek County?! Przecież powozem jechałaby całe dni, jeżeli nie tygodnie. Po co miałyby tu przyjeżdżać?

- To właśnie jest legenda, częścią historii Seminolów, przekazywaną ustnie z pokolenia na pokolenie.

- Wtedy ta okolica była zupełnie dzika - mruknęła bardziej do siebie niż do Cage'a. Była pod wrażeniem nowiny, że nie jest pierwszą kobietą z rodziny Brooksów, która widziała Everglades. Pierwsza, mimo zabójczego upału, nosiła sute, długie spódnice i buty ze skórzaną zelówką, przepuszczającą wodę. Pewno spała na ziemi, choć wokół pełzały węże, a owady odganiała jedwabnym wachlarzem. Nagle doszła do wniosku, że w porównaniu z tamtą jest głupia, zepsuta i bezradna.

- Dlaczego? - szepnęła. - Dlaczego tu przyjechała?

- Naprawdę cię to interesuje? Jutro pójdziemy do kogoś, kto odpowie na twoje pytania, bo zna wszystkie legendy.

Tyle czekania! Jutro wydawało się odległe o milion lat!

- Jest ciemno - tłumaczył łagodnie. - Po co myśleć teraz o cudzych wyprawach w głąb Everglades? Zastanów się, jak trafić do domku z serduszkami.

- Ojejku! - jęknęła na myśl o bardzo przyjemnych sprawach, których nie sposób odłożyć na później. Przez całe popołudnie miała zupełny spokój. Wypociła wszystko, co wypła. Wieczorem sytuacja zmieniła się radykalnie. - Zupełnie o tym zapomniałam.

- Pierwszy raz będziesz szła nocą. Chcesz obstawę?

Niewątpliwie było w tym coś niewłaściwego. Nie wypadało przecież spać w jednym pokoju z nowo poznanym mężczyzną. Dlaczego w takim razie w ogóle nie dręczyło jej poczucie winy? Leżała w łóżku z ramionami pod głową i wzrokiem utkwionym w ciemność. Czuła się rozkosznie podekscytowana, jak dziewczyna, która pierwszy raz pojechała na letni obóz.

Wystarczył jeden krótki dzień, by życie pokazało jej, ile kryje w sobie różnych możliwości. Robiła rzeczy, o których dawniej tylko słyszała i zobaczyła to, czego nie spodziewała się zobaczyć. Na dodatek doznała zupełnie jej obcych uczuć.

A jutro - próbowała skoncentrować uwagę na czymś innym - jutro otrzyma odpowiedzi na pytania, które zadawała od lat. Kim była pierwsza Melanie Annabelle Brooks? Jakiego uczynku się dopuściła, że nie zachowano nawet pamięci o niej? Po co tu przyjechała?

Nie mogła usnąć. Słuchała delikatnego brzęczenia owadów przerywanego rytmicznym kumkaniem żab. Od czasu do czasu dolatywał stłumiony, chrapliwy ryk - to rozmawiały aligatory. Cage nazwał te dźwięki nocną muzyką parku.

Okazał się idealnym dżentelmenem podczas wyprawy do wygódki. Oświetlał ścieżkę latarką, którą potem jej zostawił na drogę powrotną. Sam poszedł do domu. Wyobrażała sobie czyhające zewsząd olbrzymie węże i zgłodniałe aligatory. Z bijącym sercem pędziła do chaty. Chyba bez protestów zrezygnowałyby z jego dyskrecji w zamian za poczucie bezpieczeństwa.

Teraz już spał w śpiworze, rozłożonym obok kanapy. Przedtem słyszała w ciemności szelest padającego na podłogę ubrania. Czy zdjął wszystko? Ona rzuciła szlafrok i wsunęła się do łóżka tylko w krótkiej bawełnianej koszulce. Było tak gorąco i wilgotno, że przeszkadzało jej nawet prześcieradło, którym przykryła nogi. Nie chciała go jednak odsunąć. Cage mógł obudzić się wcześniej niż ona.

- Nie możesz usnąć?

Zaskoczył ją. Poczowała się jak mała dziewczynka, która nie usnęła posłusznie po dobranocce.

- Nie bardzo. Skąd wiesz, że jeszcze nie śpię?

- Twój oddech cię zdradza.

Zrobiło jej się gorąco na myśl o tym, że cały czas leżał i słuchał jej oddechu.

- Pewno łóżko jest niewygodne?

- Nie. Dobrze. Chyba za dużo wrażeń.

Oboje mówili szeptem, jak dzieci na koloniach, które nie chcą, by weszła wychowawczyni i skarciła je za gadanie w czasie ciszy nocnej.

- Cage? - Użyła nazwiska, a nie imienia. Benjamin w ogóle do niego nie pasowało. Było zbyt pospolite.

- Słucham, Melanie?

- Wiesz, to świetna zabawa.

- Zabawa?

- Może poważna delegatka nie powinna tak mówić, ale nie mogę znaleźć lepszego słowa. Nigdy nie robiłam, takich rzeczy. Nigdy nie płynęłam poduszkowcem, nie widziałam aligatora, nie chodziłam do wychodka ani też nie wypiałam tyle alkoholu. To był po prostu nadzwyczajny dzień - westchnęła cicho.

Kiedy nie odpowiedział, pomyślała, że chyba usnął. Wyteżyła wzrok i próbowała sprawdzić, ale było zbyt ciemno i leżał za daleko. Położyła się na wznak i wtedy uświadomiła sobie, że właśnie tutaj, w tej prymitywnej chacie w środku mokradeł, jest szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Zaniepokoiło ją to odkrycie. Przekręciła się na bok. Chyba czekała ją bezsenna noc... Po chwili spała jak suseł. Jednym ruchem nogi zrzuciła prześcieradło.

Gdy zapadła cisza, Cage powoli obrócił głowę i spojrzał w jej stronę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Obudził ją aromat świeżo zaparzonej kawy i skwierczenie kielbasek na patelni, znajome zapachy i dźwięki charakterystyczne dla niedzielnych poranków w Georgii. Przeciągnęła się i ziewnęła smacznie.

- Dzień dobry.

Otworzyła szeroko oczy. Benjamin krzątał się przy kuchence gazowej. To dzięki niemu unosiły się te boskie wonie. Włożył obcięte dżinsy i nic poza tym. Szybko odwróciła wzrok od jego szerokich opalonych pleców.

- Dzień dobry - wymamrotała. Mógł się przynajmniej przyzwoicie ubrać. To było wprost nie do pomyślenia, by mężczyzna, którego ledwo знаła, paradował w jej obecności na wpół nago.

Gdy zaczęła w duchu oburzać się na jego zachowanie, spojrzała na siebie i niewiele brakowało, by krzyknęła z przerażenia. Prześcieradło leżało skopane i skręcone w nogach łóżka, a jej koszulka zadarła się aż do żeber, odsłaniając pas golizny powyżej bardzo skąpych majteczek.

Usiadła szybko, obciągnęła koszulę i chwyciła szlafrok.

- Za późno - roześmiał się Cage. Nawet nie odwrócił się od stołu. - Już cię widziałem w negliżu. To chyba znaczy, że będziemy musieli wziąć ślub.

Zaczerwieniła się jak piwonia i z wściekłością włożyła szlafrok. Zaczęła szukać tenisówek, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Teraz dopiero na nią spojrzał.

- Jeśli chcesz się umyć, to pamiętaj, że za pięć minut mamy śniadanie.

Wzięła neseser z kosmetykami oraz ręczniki i ruszyła na ganek. Stała na pierwszym stopniu schodów. Znow znalazła się pod urokiem dżungli, tym razem widzianej z wysokości. Poprzedniego dnia była zbyt skoncentrowana na zupełnie nowych przeżyciach, by docenić piękno tego widoku.

Ludzie handlujący nieruchomościami nie byliby zachwyceni - żadnymi malowniczymi gór ani pięknymi równin, ciągnących się po horyzont. Jednak gęste listowie, rzucające cień na bujne poszycie, mogło oczarować każdego miłośnika przyrody. Szukała wzrokiem źródła ochryplego krakania. Spojrzała na pobliską gałąź. Jaskrawozielony ptak przycupnął na krawędzi gniazda. Pod opieką miał chude pisklęta z rozdziawionymi dziobkami. Melanie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- To zielona sójka. - Cage stanął za nią na ganku. - Strasznie hałasują rano. Dziwiłem się, że nie obudziły cię wcześniej.

- Są piękne. - Odetchnęła głęboko czystym porannym powietrzem. - Wszystko stąd wygląda cudownie.

Czuła na sobie jego wzrok. Stanął obok. Zbyt bliskość Beau zawsze ją przytłaczała. Niepokoił ją nawet sposób, w jaki formułowała to spostrzeżenie. W końcu Beau był jej narzeczoną. Niestety, kiedy do niej podchodził, odnosiła wrażenie, że powietrze wokół staje się duszne. Teraz gołe ramię Cage'a niemal jej dotykało i nie sprawiało jej to żadnej przykrości.

- Chyba zakocham się w tym miejscu - powiedziała bez zastanowienia.

- Naprawdę? - spytał cicho. Właściwie było to raczej potwierdzenie niż pytanie, jakby oczekiwał, że polubi Everglades, gdy tylko lepiej przyjrzy się okolicy.

- Niestety, tylko stąd - dodała. - Nadal boję się prawie wszystkiego, co tu chodzi po ziemi.

- Jesteś bardziej bezpieczna w Everglades niż na ulicy któregośkolwiek wielkiego miasta na świecie. Tak jak wszędzie zagraża nam jedynie człowiek. Tu nic się nie zmieniło od wieków. Na szczęście nikt nie zdążył tknąć tego lasu. Widzisz mniej więcej to samo, co twoja babcia.

Melanie ogarnęła podniecenie na myśl, że przecież tego dnia pozna nieznane szczegóły z historii swojej rodziny. Jak na ironię wiązały się z tym miejscem, które uważała za zupełnie obce i przerażające.

- Śniadanie prawie gotowe - cicho zauważył Cage. W tonie jego głosu wyczuła żal, że ta chwila już się kończy.

- Za sekundę wracam - powiedziała, ale szła powoli. Odprowadzał ją jego wzrok i to dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Przez moment pomyślała, że niepotrzebnie karmi się złudzeniami. Przecież był nierozsądnym fanatykiem, radykałem, człowiekiem, z którym nie można nawet porozmawiać. Tak przynajmniej twierdził Beau.

Ale Beau kłamał. Zatrzymała się na schodach, gdy to sobie uświadomiła. Podobne myśli stanowiły zagrożenie dla jej przyszłości, którą tak starannie zaplanowano. Raptem nad jej głową pisnęła zielona sójka i Melanie natychmiast zapomniała o narzeczonemu. Zresztą nie pasował do tego miejsca.

Idąc od domku z serduszkami do prysznicza odkryła, że cały czas ma na twarzy radosny uśmiech. Może dlatego, że nie pożarł jej żaden groźny gad, a może powodem był niespodziewany przyływ energii, wynikający z radykalnej zmiany sposobu życia. Biegała na dworze w szlafroku, a za umywalkę służył jej wydrążony pień.

Szczypała ją skóra, gdy spłukiwała mydło. Cage miał rację. Za bardzo się opaliła. Zerknęła na wypolerowany, metalowy krążek przybity gwoździem do pała. Podeszła bliżej z ciekawością. Od wczoraj nie widziała się w lusterku. Wygląd zawsze miał dla niej zasadnicze znaczenie. I w ciągu jednego dnia wszystko to się zmieniło. Popatrzyła na swoje odbicie. Nie zrobiła makijażu, nie polakierowała włosów i nie włożyła idealnie dobranego stroju, a mimo to była z siebie zadowolona.

- Chodź już! - krzyknął z góry Cage, więc zebrała rzeczy i szybko wbiegła po schodach.

Wystawił krzesła plażowe na ganek. Tam zjedli śniadanie. Talerze trzymali na kolanach, a kubki z kawą w ręku. Po raz pierwszy Melanie jadła w szlafroku i uznała to za wspaniałe dekadencje.

- Szybko przyzwyczaiłabym się do twojej kuchni - oznajmiła, nabierając na widelec ostatnie kęsy puszystej jajecznicy.

- Zmienisz zdanie po dzisiejszej kolacji. W tym upale lodówka turystyczna trzyma zimno najwyżej dzień lub dwa. Obawiam się, że teraz czeka nas jedzenie z puszek.

- To bez znaczenia. - Wzruszyła ramionami. - Tutaj wszystko mi smakuje.

Po jej słowach zapadła całkowita cisza. W końcu podniosła oczy. Patrzył na nią w zamyśleniu.

- Nie przypominasz w ogóle kobiety, która wysiadła z samolotu - powiedział cicho.

- O tak! Znajomi nie poznaliby mnie - rzuciła i natychmiast spoważniała. - Czy to miała być krytyka?

- Absolutnie nie.

- Całe szczęście. - Spojrzała na las. - Czuję, jakbym była zupełnie inna niż wczoraj.

- Co się zmieniło?

- Wszystko. Roześmiała się.

- To prawda. Wczoraj byłam dobrze wychowaną, elegancką Melanie Brooks, która należy do śmietanki towarzyskiej Creek County. Dzisiaj... - Wzruszyła ramionami. - Dzisiaj jestem jakąś szaloną kobietą, biorę prysznic z ważkami, jem śniadanie w szlafroku... Nie śmieję się. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to niepodobne do mnie.

- Rzeczywiście? A może to ta kobieta ze śmietanki towarzyskiej była niepodobna do ciebie?

Właśnie zamierzała przeanalizować znaczenie jego słów, gdy raptownie uśmiechnął się beztrudnie, rozparł na krześle i skrzyżował wyciągnięte nogi.

- Przyjemne.

- Co?

- Wspólne śniadanie. Poranek we dwoje. Nigdy przedtem tego nie robiłem. Nie miałem pojęcia, że sprawi mi tyle radości.

- Ja też nie - szepnęła i zagryzła wargi. Nie powinna mówić takich rzeczy, a nawet o nich myśleć.

- To znaczy... chodziło mi o tę delegację. Nigdy nie myślałam, że będzie tak interesująca. - Próbowała zatrzeć wrażenie, które mogła wywołać poprzednimi słowami. - Nie przypuszczałam, że będzie...

- Oczekiwałaś koktajli i pokazu slajdów.

- Tak - przyznała szybko, z wyraźną ulgą.

- Nie spodziewałaś się, że mnie polubisz?

- Nie - odpowiedziała po chwili wahania. Jego przyjazny uśmiech rozładował trochę atmosferę.

- Oczekiwałam czegoś w rodzaju wykładu. Czy nie powinieneś wyliczyć mi wszystkich powodów, dla których nie należy obcinać budżetu Everglades?

- Wymyśliłem inne rozwiązanie. Dzięki pobytowi tutaj te powody staną się dla ciebie oczywiste. Z chęcią odpowiem na wszystkie pytania. Sam też ci parę rzeczy objaśnię. Jeżeli coś mnie podkusi i zacznę wykład, powstrzymaj mnie. Musisz sama wszystko zobaczyć i przeżyć. Nic tego nie zastąpi.

- Powinieneś być nauczycielem.

- Taka jest moja rola w czasie tego weekendu. Jestem twoim nauczycielem, a Everglades pracownią i lekcją zarazem. Już się dużo nauczyłaś.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, ale nie była to krępująca cisza, która zapada, gdy rozmowa się nie klei. Rozmyślała nad jego słowami. Jej zdaniem poznała lepiej siebie, a nie Everglades.

- Próbuję przypomnieć sobie co nieco z historii - powiedziała w końcu. - Osceoli poświęcono chyba nie więcej niż jeden akapit w

podręczniku. Drobny zabijaka z plemienia Seminolów. Żył w dziewiętnastym wieku, zgadza się?

- Niektórzy tak go nazywali. Pamiętasz dlaczego?

- Chodziło chyba o to, że rząd chciał przenieść Seminolów z Florydy gdzieś do rezerwatu. Osceola odmówił opuszczenia swojego domu.

Wywołał bunt, tak?

- Właściwie nawet wojnę. Osceola i paru zdecydowanych na wszystko wojowników przeciwko całej armii Stanów Zjednoczonych.

- Szanse były trochę nierówne. - Uśmiechnęła się smutno.

- Trochę.

- Czy chcesz mi dać do zrozumienia, że moja prababcia z portretu знаła Osceolę?

- Może... Trudno stwierdzić na podstawie legendy. Jest w niej mowa tylko o tym, że ukryła jednego z wojowników przed wojskami rządowymi.

- Mam w to uwierzyć? - Melanie westchnęła ciężko. - Wtedy Indianie zabijali osadników. Byli dzikusami.

- Biali też zabijali Indian. Dla Indian pewno właśnie oni byli dzikusami.

Zastanowiła się nad logiką jego wyводу i kiwnięciem głowy przyznała mu rację.

- Czy przy istnieniu takich uprzedzeń po obu stronach biała kobieta mogła spotkać Seminola i na dodatek ukrywać go przed oddziałami rządowymi?...

- Ubierz się - przerwał jej łagodnie. - Chyba już czas, żebyś ją poznała. Opowie ci całą legendę ze szczegółami.

- To kobieta? - spytała Melanie.

- Tak. Bardzo stara kobieta z plemienia Seminolów. Przygotuj się do drogi, a ja pozmywam.

Nie zwracała w ogóle uwagi na Cage'a. Odwrócony do niej plecami, krztał się przy blacie. To zadziwiające, jak łatwo zrezygnowała z dawnych przyzwyczajzeń. Jeszcze wczoraj uważała, że niemożliwe jest życie bez bieżącej wody, kanalizacji i własnego pokoju. Dzisiaj bez zastanowienia poszła do wygódki, a teraz ubierała się w odległości dwu metrów od mężczyzny, którego znała krócej niż dobę.

Wciągnęła nową parę sztywnych płóciennych spodni. Szybko rzuciła okiem, by sprawdzić, czy Cage nadal nie patrzy. Zdjęła koszulę nocną i włożyła świeży podkoszulek. Jeszcze w Tallahassee nie wyobrażała sobie nawet, że ktoś zobaczy ją w tego rodzaju bluzce i, co gorsza, bez stanika. Po prostu szczyt nieprzyzwoitości. Beau chyba się przeraził. Ale on nie spędził popołudnia na wędrówce przez tropikalny, podmokły las i nigdy nie obcierały mu skóry ramiączka.

- Jesteś gotowa? - spytał Cage, nie odwracając się.

Z rezygnacją spojrzała na zarys swoich piersi i sterczące pod cienką dzianiną brodawki. Szybko włożyła koszulę z długimi rękawami, która zakrywała wszelkie wypukłości.

- Teraz już tak. - Usiadła na łóżku, by wciągnąć wysokie, piekące kalosze. - Będą dzisiaj potrzebne?

- Owszem. - Podeszedł do skrzyni, stojącej w nogach łóżka, i wyjął z niej czyste ubranie. - Kiedy dotrzemy na miejsce, zdejmiesz je i pochodzisz sobie boso.

Była bliska chichotu. Narzeczona kongresmena Beau Parkera boso i bez stanika! Nieprawdopodobne!

- No, nie jestem taka pewna, czy... - zaczęła, odwracając się do Cage'a. Zdebiłała. Jego dżinsy właśnie opadały na podłogę. Ubrany tylko w czarne slipki, włożył stopy w nogawki płóciennych spodni i podskoczył, by szybciej je wciągnąć. Zauważył jej osłupienie dopiero w momencie, gdy miał włożyć czarny podkoszulek. Zamarł w zupełnym bezruchu.

- Co się stało?

Zdołała tylko w milczeniu wskazać dłonią dżinsy, leżące na podłodze.

- Co? - szepnął. Nawet nie drgnął, tylko wodził wzrokiem wokół stóp. - Co się dzieje?

Chrząknęła zażenowana.

- No... po prostu... zdjąłeś spodnie. W mojej obecności.

- Rany boskie! - Jego ciało rozluźniło się, westchnął z ulgą, wygładził podkoszulek i dopiero wtedy ją zaatakował. - Cholera! Nigdy więcej tego nie rób! Myślałem już, że stoję na wężu.

- Przepraszam - odcięła się zgryźliwym tonem. - Niestety, nie jestem przyzwyczajona do tego, by mężczyźni rozbierali się na moich oczach.

- Naprawdę? A kongresmen Parker kładzie się do łóżka całkowicie ubrany?

- Nie wiem i mam nadzieję, że nie wątpisz w moje słowa - rzuciła wyniośle. W tej samej chwili pożałowała swojej szczerości.

- Co?!

Zignorowała jego pytanie. Udawała, że zapinanie guzików koszuli wymaga pełnej koncentracji. Nawet w ciężkich gumowych kaloszach potrafił bezszelestnie obejść łóżko i stanąć przed nią. Ponieważ siedziała, miała przed oczami zgniłą zieleń nogawek jego spodni.

- Czy chciałaś powiedzieć, że ty i twój kongresmen nigdy?...

- To chyba nie twoja sprawa!

- Dlaczego się tak zaperzyłaś? Czy dlatego, że z nim śpiesz czy też dlatego, że nie śpiesz?

Twarz Melanie wyglądała, jakby cały dzień opalała się w ostrym słońcu Florydy. Odwróciła wzrok. Nie mogła zrozumieć, z jakiego powodu tak bardzo rozdrażnił ją fakt, że Cage dowiedział się o jej braku doświadczenia nie tylko w wiązaniu węzłów, ale w każdej niemal dziedzinie.

- Możemy już iść?

- Wleję wodę do manierek - oznajmił po długiej chwili milczenia.

Odetchnęła z ulgą, kiedy odszedł.

Wyruszyli w przeciwnym kierunku niż poprzedniego dnia. Prowadził ją przez pełen majestatu, ciemny las sosnowy. Szła za nim, zatopiona we własnych myślach.

Wszystko się zmieniło. W czasach młodości jej matki seks przedmałżeński był wstydliwie skrywaną tajemnicą. Ona natomiast czuła się zażenowana swoją niewiedzą. Z drugiej strony czekanie na małżeństwo nadal, przynajmniej teoretycznie, stanowiło pewne wyzwanie dla dziewcząt. Przecież w opinii ogółu to mężczyźni ulegali namiętnościom. Podobno z reguły nie mogli nad nimi zapanować i tylko dzięki silnej woli kobiety narzucali sobie samokontrolę.

Obserwowała swoje stopy, które miarowo stawiała na leśnej ścieżce. A Beau? Nigdy nie tracił głowy. Właściwie to on odsuwał ją delikatnie, gdy ich pocałunki zbyt długo się przedłużały. Co to znaczyło? Nie kochał jej? A może nie była kobietą, która wzbudza pożądanie?

Westchnęła ciężko i spojrzała na plecy Cage'a. Cienki podkoszulek już lepił się do jego kręgosłupa. Czy na nim wywierała jakiekolwiek wrażenie? Przypomniała sobie chwile fizycznej bliskości między nimi - kiedy poduszkowiec gwałtownie zahamował na brzegu i gdy ją wnosił po schodach. Na samo wspomnienie przez jej ciało przebiegła fala gorąca. Nie zauważyła jednak, by on staczał wewnętrzne walki, spowodowane koniecznością panowania nad zmysłami. Widocznie nie mogła liczyć na nic prócz obojętności ze strony mężczyzn.

- Melanie?

- Mhm?

- Chodź tutaj... obok mnie.

- Idę po twoich śladach, zgodnie z wczorajszą instrukcją - oznajmiła ponuro i nie zrobiła ani kroku do przodu. - Zapomniałeś? Ja przecież bez dyskusji podporządkowuję się cudzym rozkazom.

Nie zareagował na jej złośliwości. Poczekał, póki się z nim nie zrównała.

- Na tym szlaku nie ma ukrytych bagienek. Jesteś zupełnie bezpieczna.

- Jeżeli tak twierdzisz...

- Cały czas milczysz... O czym myślisz?

- O niczym nie myślę. Wchłaniam każdym porem skóry atmosferę Everglades. Moim zadaniem jest poznać te tereny. Po to tu przyjechałam, pamiętasz?

- Oczywiście. Teraz posuwamy się w głąb lądu, w stronę małego strumyka, gdzie trzymam kajak. Poduszkowiec jest za duży na te wąskie przesmyki, którymi dzisiaj będziemy płynąć.

- Myślałam, że cały park jest pod wodą i wszędzie można dotrzeć poduszkowcem.

- Już nie. Dzięki drenowaniu. Dawniej bagna zajmowały pięciokrotnie większy obszar niż obecnie.

Szli ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Przyjrzała się jej uważnie i zobaczyła coś zupełnie nieoczekiwanego, a mianowicie tumany kurzu, które wzbijały się przy każdym jej kroku.

- Osuszają Everglades?

- Kto mówi o osuszaniu? Nazywają to gospodarką wodną.

- Aha... Czytałam o tym programie. Jest opracowany przez naukowców, a jego wpływ szczegółowo analizowany, aby zminimalizować szkody poczynione w ekosystemie Everglades - powtórzyła opinie wyrażone w literaturze, którą dostarczył jej Beau.

- Tak - stwierdził sucho. - Bardzo naukowo decydują, ile ziemi należy wydrenować pod nowe domki jednorodzinne, ile wody skierować do dużych farm na północy...

- Park na tym nie ucierpi - wtrąciła nieśmiało. - Teraz kończą dokładne badania, by udowodnić nieszkodliwość tych działań.

- Rezultaty badań opublikowano już miesiąc temu. Wynika z nich jasno, że program gospodarki wodnej, ten właśnie, który rzekomo miał chronić Everglades, zabija park systematycznie, hektar po hektarze. Niektórzy chcieliby utrzymać tę informację w tajemnicy albo przynajmniej podważyć jej prawdziwość.

Stała jak wryta i spojrzała na niego.

- Nie doczytałam się nic o rzekomym zagrożeniu dla parku.

- W takim razie powinnaś więcej czytać. - Ruszył szybko przed siebie.

Próbowała za nim nadażyć. Usiłowała złapać go za ramię, jak dziecko, które chce zwrócić na siebie uwagę dorosłego.

- Ale przejrzałam wszystko, co dostałam od Beau...

- Wobec tego nie dał ci wszystkiego.

Szła z wzrokiem wbitym w ziemię. Nie mogła pojąć, dlaczego Beau pominął tak ważne materiały. Raptem zrozumiała. Powinna była od razu o tym pomyśleć. Po prostu Beau sam nie czytał tego sprawozdania. Prawdopodobnie nawet go nie miał.

- Zdobędę egzemplarz, jak tylko wrócę do Tallahassee - oznajmiła stanowczo.

- Mam te materiały w chacie. Już dziś wieczorem je zobaczysz.

- Dobrze. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, Beau dołoży wszelkich starań, by nie obcięto budżetu.

- Wspaniale. Od razu lepiej się poczułem. Spojrzała na niego wrogo.

- Na pewno tak postąpi - zapewniała go z uporem. - Wątpisz, bo go nie znasz.

- A ty go znasz? - Stał twarzą do niej.

- Oczywiście. - Próbowała ukryć wahanie w głosie. Przecież Beau już zaskoczył ją swoimi wyjaśnieniami, dotyczącymi jej wyjazdu tutaj. Co naprawdę wiedziała o mężczyźnie, za którego miała wyjść za mąż?

- Jest dobrym, honorowym człowiekiem, przekonany, że postępuje właściwie... - wyrecytowała te słowa jak zaklęcie, dzięki któremu stanę się prawdą.

Cage parsknął drwiącym śmiechem.

- Jeśli uważa za słuszne zmniejszenie budżetu dla parku, to po co się fatygował i jeszcze tu kogoś przysyłał?

- Boi się ciebie - powiedziała niepewnie. - Boi się, bo masz pieniądze i wpływy. Wyborcy uwierzą tobie, nawet jeśli on miałby rację.

- Gdyby tak było, przedstawiłby fakty na poparcie swojego stanowiska. Wtedy nikt, nawet ja, nie mógłby wmówić wyborcom, że się myli.

Utkwiła wzrok w swoich obrzydliwych kaloszach.

- Nie ma honoru bez uczciwości, Melanie.

- Wiem o tym. - Buntowniczo uniosła głowę.

- Parker nie zdobył się na szczerą w stosunku do ciebie. O mnie i wyborcach wolę nie wspominać. Dlaczego więc nadal uważasz go za człowieka honoru?

Westchnęła i zagryzła usta. Gorączkowo próbowała uporządkować sprzeczne, rozbiegane myśli.

- Czy miałaś się przespać ze mną? Zasłużyłem na nagrodę pocieszenia?

- Mój Boże! Skąd! - jęknęła przerażona. Odrzucone z twarzy włosy spływały na jej ramiona. - Tak myślisz?

- A co mam myśleć? - Wzruszył ramionami.

- Zapraszam kongresmena i kogo on przysyła w zastępstwie?

Doradcę? Dobrze zorientowanego w temacie zawodowca? Nie. Przysyła kobietę, która nigdy tu nie była i którą wszystko w Everglades przeraża; kobietę, która nie wie, na czym polega taka misja, ale za to sprawi, że każdy mężczyzna zapomni o tym, co chciał osiągnąć.

Patrzyła na niego bez słowa. Słuchała uważnie, ale jej umysł zarejestrował właściwie tylko ostatnie zdanie.

- Czy sama nie nabrałaś podejrzeń, kiedy okazało się, że twoja podróż to po prostu sprytne zagranie? - spytał niewinnym tonem. - Nie wpadło ci do głowy, co naprawdę masz zrobić, żeby mnie udobruchać?

- Nic nie rozumiesz. To nie było tak. Powiedział, żebym użyła trochę swojego południowego uroku...

- Jasne... - Spojrzał na nią spod oka.

- I chodziło mu tylko o ten urok - upierała się. - O nic więcej. Beau nawet o mnie nie myśli w ten sposób.

- Żaden mężczyzna nie mógłby nie myśleć o tobie w ten sposób. Potrzebowała paru chwil, by ochłonąć.

- Dżentelmeni z Południa nie traktują przyszłych matek swoich dzieci tak, jakby... - zaczęła.

- Kto ci to, do diabła, powiedział?!

Zamilkła, zażenowana tym nagłym zwrotem w rozmowie.

- Boże! - jęknął Cage. - Dlatego uznałaś go za dobrego, honorowego człowieka? Bo cię jeszcze nie wziął do łóżka? Do cholery! Czy nie zauważyłaś, że w waszym związku brakuje czegoś istotnego, co powinno w nim być?

Wypowiedział na głos wątpliwości, które gnębiły ją już od dawna.

- Dlaczego? - szepnął, patrząc jej w oczy. - Dlaczego wybrałaś takiego mężczyznę?

To jedno pytanie sprawiło, że całe jej uporządkowane życie legło w gruzach. Zawsze czuła się jak pasażer punktualnego pociągu o świetnie zaplanowanej trasie. Teraz lokomotywa niespodziewanie zahamowała w

szczerym polu. Musiała znaleźć własną drogę na środku pustkowia. Sama nigdy niczego nie wybrała. Narzeczonego też nie. W pewnym sensie dostarczono go jej... „Dzisiaj wieczorem spotkasz wyjątkowego człowieka, Mellie - powiedział ojciec. - O takim mężu dla naszej dziewczynki marzyliśmy razem z matką”.

- Dlaczego? - powtórzył Cage.

Zacisnął mocniej dłonie na jej ramionach. Spojrzała na niego i wtedy po raz pierwszy zobaczyła pożądanie w oczach mężczyzny.

- Honor i uczciwość - cedził, niemal nie otwierając ust. - Patrzeć na ciebie i nie pożądać to nieuczciwość. Dotykać cię... i nie kochać się z tobą to też nieuczciwość.

Przesunął kciuki po wewnętrznej stronie jej ramion, wywołując tą pieśczętą miłe dreszcze. Zaczęła się gwałtownie wrywać. Właściwie nie chciała, ale tego wymagała przyzwoitość.

- O nie... - Przyciągnął ją do siebie. Jedną dłonią mocno objął ją w pól, a drugą przytrzymał jej szyję tak, że nie mogła ruszyć głową.

- Cage, nie... Puść mnie.

Szukała w jego oczach resztek rozsądku, ale dostrzegła tylko zdecydowanie.

- Zgoda - oznajmił obcym, zimnym głosem. - Jeżeli jeszcze raz poprosisz, żebym cię puścił, spełnię twoje życzenie.

Zaskoczył ją tą dziwną propozycją. Zupełnie nie wiedziała co robić. W pierwszej chwili pomyślała, że właściwie nie jest całowana, tylko zdobywana. Zanurzył palce w jej włosy, odchylił do tyłu jej głowę, a jego wargi odszukały jej usta.

Zrobiło jej się gorąco. Nie mogła złapać tchu. Próbowwała tłumaczyć sobie, że wszystkiemu winien jest upał. Wtedy jednak poczuła jego wilgotny język na swoich ustach i zrozumiała, że nie ma żadnego związku między jej doznaniem, a temperaturą powietrza.

Nie była w ogóle przygotowana na tę chwilę, kiedy po raz pierwszy ją samą ogarnie pożądanie. Nikt nie nauczył jej, jak stawiać opór własnemu ciału. Chyba po prostu nikt nie wyobrażał sobie nawet, by dobrze wychowana panienska z zacnej południowej rodziny mogła ulegać podobnym uczuciom.

Pieszczoty Cage'a w niczym nie przypominały wstydlwego uścisku rąk Beau, kiedy w ogóle zdecydował się na coś więcej niż pocałunek. Raz, tylko raz, chwyciła jego dłoń i przytrzymała ją na swojej piersi. Miała nadzieję, że przedłuży tę chwilę, że okaże jej prawdziwą czułość. Natychmiast się odsunął, zaskoczony, że skromna panna, którą zamierzał poślubić, jest aż tak śmiała. Zobaczyła niepokój, a nawet rozczarowanie na jego twarzy. Instynktownie zrozumiała, o co mu chodziło. Wykazała inicjatywę, a to stanowiło zagrożenie. Usadził ją jednym wiele mówiącym spojrzeniem. Przerazona, że postąpiła jak kobieta lekkich obyczajów, od tamtej pory zachowywała się biernie.

Teraz bierność była niemożliwa i na szczęście niepotrzebna. Ośmielona otwartością Cage'a, objęła go ramionami. Przez jego ciało przeszło drżenie. Na pewno nie należał do mężczyzn obawiających się namiętności.

Czuła, jakby nagle przecięto więzy, które kępowały ją od dzieciństwa. Odzyskała wolność. Tym darem Benjamin Cage zaskarbił

sobie jej miłość do końca życia. Zapomniała, czego od niej zawsze oczekiwano i jaka powinna być.

Jego usta bezgłośnie powtarzały jej imię. Powoli zsunął ramiączka trykotowej bluzki i koszulę aż do łokci. Odsłonił jej piersi, a jednocześnie całkowicie unieruchomił ramiona. Z jego oczu mogła wyczytać, jakie miał zamiary. Osunęła się na kolana, gdy znów poczuła dotyk jego dłoni.

On też ukląkł. Jego usta błędziły po jej szyi, ramionach, a w końcu dotarły do piersi. Jęknęła cicho i wygięła się do tyłu. Chciała przytrzymać jego głowę, ale krępowało ją ubranie. Cage odsunął się i zdarł z niej koszulę. Oddychał ciężko, czarne włosy opadły mu na oczy.

- Zawsze brałem z życia to, co chciałem. Zawsze. Nigdy jednak nie chciałem niczego równie mocno jak teraz.

Nie wiedziała, czy właśnie takie słowa zawsze pragnęła usłyszeć od mężczyzny. Natomiast była pewna, że dzięki nim chyba po raz pierwszy w życiu poczuła się kobietą. Nawet nie wspomniał o miłości, ale nie miało to znaczenia. Przecież miłość i pożądanie szły ze sobą w parze.

Wyciągnęła do niego ramiona. Wolą unikać rozmowy. Mogła przypomnieć jej o świecie, w którym do niedawna żyła. Cage chwycił ją za rękę i patrzył na nią z uwagą. Wytrzymała jego wzrok. Powoli przyciągnęła jego dłoń do swojej piersi.

Objął ją i osunęli się na trawę. Czują jego usta na twarzy i szyi. Ręka, która rozpięła pasek jej sztywnych spodni, leżała teraz na jej brzuchu. Ogarnął ją dziwny spokój i poczucie bezpieczeństwa. Chciała trwać tak do końca życia. Palce Cage'a powoli zjechały w dół. Westchnęła cicho, gdy rozpoczęły czułą wędrówkę.

Mętnie uświadamiała sobie, że nad głową ma zielony baldachim z liści. Jej włosy utworzyły złocisty wachlarz na brązowej ziemi. Połyskiwały w promieniach słońca, które zdołały przebić się przez gęstwinę. Oczy Cage'a chłoneły jej twarz, a dłonie pieściły jej ciało. Patrzyła na niego jak urzeczona. Raptem utkwiał wzrok w miejscu tuż za jej głową. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale wzrokiem nakazał jej milczenie.

- Leż - szepnął.

Nie spuszczał oczu z tępo zakończonej główki, sunącej w stronę Melanie. Wąż uniósł się nad włosami, które leżały na jego drodze. Co chwila wystawiał języczek.

Cage wstrzymał oddech. Nie chciał, by spostrzegła jego strach. Mały, jadowity wąż, którego ciało zdobił czarno-żółto-czerwony wzorek, pełził zygzakowatym ruchem przez jedwabiste pasma włosów.

Melanie obserwowała powolny ruch oczu Cage'a. Czuła napięte mięśnie, gotowe do natychmiastowej, gwałtownej reakcji. Coś przesunęło się po jej włosach i z jego twarzy wywnioskowała, że tylko spokój może uratować jej życie. Choć zakrawało to na głupotę, w ogóle się nie bała. Przecież Cage nie pozwoliłby nikomu i niczemu zrobić jej krzywdy. Była tego absolutnie pewna.

Jego oczy zwróciły się już tak daleko w lewo, że widziała tylko białka. Powoli je zamknął. Po chwili wstał i pociągnął ją za sobą. Jego ramiona obejmowały ją tak mocno, że sprawiały jej ból.

- Mój Boże - szepnął przez zaciśnięte usta.

- Co to było? - spytała.

- Wąż - wykrztusił z trudem.

- Tak myślałam.

- Tak myślałaś?! - Ze zdumienia wytrzeszczył oczy.

- Czulałam coś na włosach. Patrzyłeś, jak sunie po ziemi... To nie mogło być nic innego.

- Przecież panicznie boisz się węży. Mdlejesz na ich widok.

- Tak, ale nie tym razem. Wiedziałam, że mnie obronisz.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem, które po chwili zmieniło się w gniew. Nic nie rozumiała.

- Do diabła! To był wąż koralowy, Melanie. Jego jad zabija. Inne są przy nim jak zwierzątka domowe. Jedno ukąszenie i...

- Przepraszam... - Chciała przywrócić poprzedni nastrój.

- Ty przepraszasz... - powiedział głucho. - To ja straciłem panowanie nad sytuacją. Twoje życie było zagrożone. I ty przepraszasz?!

Wepchnął ręce do kieszeni. Miała ochotę położyć dłoń na jego ramieniu, ale zrezygnowała. Coś było nie w porządku. Zmarszczka między jego brwiami pogłębiła się, a usta pozostawały zaciśnięte. Patrzyła na jego twarz, jakby w tej chwili ważyła się cała jej przyszłość. Nie miała odwagi przerwać milczenia.

- To nie ma sensu. Dobrze, że ten wąż wybrał właściwy moment i wszystko przerwał.

- Dlaczego?!

- Ponieważ chcesz więcej, niż mogę ci dać.

- Nie rozumiem - szepnęła. Z trudem panowała nad zdenerwowaniem.

- Chcesz miłości, a tego właśnie nie mogę ci dać.

- Ale my się prawie kochaliśmy...

- Nie. To był tylko seks. Chyba jeszcze nie wiesz, co to znaczy kochać.

Stała spokojnie, nie okazując bólu, chociaż ranił ją każdym słowem. Nie kochał jej? Co w takim razie do siebie czuli? Co ich łączyło przed chwilą, jeżeli nie miłość?

- Masz rację.

Tylko tyle zdołała wykrztusić. Z niewiadomych powodów ta odpowiedź go rozbawiła. Jego ironiczny uśmiech dotknął ją do żywego.

- Potem byś siebie za to nienawidziła. Wystarczy, że wrócisz do domu, do dawnego życia, i ochłoniesz.

Przymknęła oczy, by ukryć rozczarowanie. Następny mężczyzna kazał jej ochłonać. Przypomniła sobie ten jeden jedyny raz, gdy przytrzymała rękę Beau na swojej piersi. Rozpustna Melanie! - pomyślała, śmiejąc się w duchu.

- Powinnaś się ubrać.

Patrzył na jej ciało. Kiedy sobie to uświadomiła, ogarnął ją wstyd, a przecież jeszcze przed chwilą nie widziała nic niestosownego w swoim wyglądzie. Ale to było wtedy, gdy trzymał ją w ramionach i wierzyła, że coś dla niego znaczy. Teraz czuła się fatalnie - na wpół naga kobieta, której polecono przykryć goliznę.

Z trudem znosiła takie poniżenie. Potraktował ją, jakby wciąż była tamtą małą dziewczynką, którą zgorszona niania goniła po trawniku. Ze spuszczonego wzrokiem włożyła podkoszulek. Nie chciała widzieć obojętności w jego oczach. Pragnęła tylko zachować pełną kontrolę nad własną twarzą, ukryć rozpacz. Tłumaczyła sobie, że wszystko przeboleje.

Życie będzie się toczyło dalej, nawet jeśli odtrącił ją pierwszy mężczyzna, którego kochała.

Coś do niej mówił, ale nie słyszała i nie chciała słyszeć. Znów sprawiłby jej ból.

- Melanie? - powtórzył. - Pytam, czy chcesz wracać.

- Wracać? - rzuciła z udawaną niedbałością. - Dokąd? Do chaty? Do Tallahassee? Czy aż do domu w Georgii?

Przez chwilę milczał. Czowała jego wzrok na sobie. Skupiła całą uwagę na guzikach koszuli, którą zapinała.

- Sama zdecyduj.

Rozejrzała się wokół, starannie omijając jego twarz.

- Spójrz na mnie, Melanie.

Powoli odwróciła głowę.

- O co ci chodzi? - spytała.

Nie zorientował się, ile wysiłku kosztował ją ten pozorny spokój.

- Czy chcesz wracać?

- Nie - odpowiedziała stanowczo. Nie wróci z pustymi rękami. Jeżeli nie mogła zdobyć Benjamin Cage'a, to przynajmniej zyska wiedzę o tajemnicach swojej rodziny. - Chcę poznać tę kobietę i usłyszeć legendę. Obiecałeś mi.

Jego milczenie trwało niemal wieczność.

- Chodźmy - powiedział w końcu.

Odwrócił się i po chwili zniknął za drzewami. Był częścią tego świata, w którym ona czuła się zupełnie obco. A wyobrażała sobie, że coś może łączyć takiego mężczyznę właśnie z nią! W niczym nie byli podobni...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cage wiosłował niemal godzinę przez labirynt krętych przesmyków wodnych. Melanie siedziała z przodu kajaka i nie patrzyła na niego. Właściwie nie zauważała też zielonej, mętnej wody, którą przecinał dziób łódki, ani olbrzymich orchidei, wychylających się z cienistej dżungli, ani nawet delikatnego mchu, zwisającego z gałęzi jak firanka, choć niekiedy muskał jej twarz niczym cieniutkie nici babiego lata. Próbowwała zapomnieć o tym, co się wydarzyło w lesie, i o ich późniejszej rozmowie.

Na zawsze. Tak zdecydowała. Właśnie jego pragnęła na zawsze. Była to więc chyba miłość. A gdyby jej nie odwzajemnił? Czy musi z niej zrezygnować?

Roztrząsała te problemy, nieświadoma oczu Cage'a, utkwionych w jej plecach. Od czasu do czasu pokazywał jej jakąś roślinę lub ptaka, które stanowiły miejscową osobliwość. Zwracał uwagę na obszary, niegdyś pokryte bujną bagienną roślinnością, a po osuszeniu zarośnięte krzakami. Mógł mówić o tak nieistotnych sprawach i to sprawiało jej dodatkowy ból.

- Kiedyś gniazdowały tu tysiące czapli ozdobnych - powiedział. - Teraz nie ma wody, nie ma ryb i nie ma czapli. I to właśnie jest nasza gospodarka wodna.

Pokiwała głową z roztargnieniem. Rozcierała ramiona, w nadziei, że usunie z nich wspomnienie dotyku jego rąk.

Niekiedy trasa, którą płynęli, znikwała w gęstwinie lilii wodnych, ale Cage nie przestawał wiosłować przez splątaną roślinność i zawsze znajdował drogę do czystych wód za nimi. W końcu skierował kajak do

brzegu, który wyglądał dokładnie tak samo jak każdy inny. Zarzucił linę na zwisającą gałąź.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył sucho i podał jej dłoń, by zeszła na porośnięty trzcinań brzeg.

Trzymała jego rękę o wiele za długo. Musiał sam ją wyciągnąć. Ruszył przez gęste krzaki do niewidocznej na razie ścieżki. Nie upewnił się, czy może za nim nadażyć przez paprocie i trawy sporo wyższe od niej. Jej żal zmieniał się w złość.

Z goryczą pomyślała, że Beau nigdy by tak nie postąpił. Nigdy by jej nie zostawił, by sama szukała drogi. Pozostałby obok niej. Prowadziłby ją, dyskretnie trzymając za łokieć. Śledziłby każdy jej krok, żeby przypadkiem nie stanęła na niewłaściwym podłożu. Na pewno też nie oczekiwaliby, że będzie używała wygodki czy też brała prysznic na dworze, cumowała łódź lub brnęła przez las w czterdziestostopniowym upale. Nawet nie wpadłoby mu do głowy, by ją o to poprosić. Znał ograniczenia wynikłe z jej braku doświadczenia i nie robił jej z tego zarzutów. A Cage, na nieszczęście, uważał, że ona wszystko może, potrafi i umie.

Raptem wszystko zaczęło układać się w logiczną całość.

- Melanie, do diabła! Pośpiesz się!

Jego głos dobiegał daleko z przodu. Misterna konstrukcja myśli rozpadła się w jednej sekundzie. Sfrustrowana, klnąc pod nosem, przyśpieszyła kroku.

Wkrótce się z nim zrównała. Stał z uniesioną głową i patrzył na mały szałas kryty liśćmi palmowymi. Wisiał wysoko wśród listowia. Prowadziły doń rachityczne schodki. Składał się z platformy i dachu. Nie miał ścian.

Po bokach przymocowano maty. Teraz były częściowo zrolowane, by wpuścić jak najwięcej powietrza.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

- Ktoś tu mieszka?

Na szczycie schodów pojawiła się postać.

- Ona.

Podeszła bliżej i z niedowierzaniem spojrzała na kobietę. Wydawało jej się niemożliwe, by ktoś równie stary mógł promieniować taką witalnością. Indianka była niezwykle wysoka i chuda. Melanie zawsze utożsamiała sędziwy wiek z pochyloną sylwetką, a ona trzymała się bardzo prosto. Jej skórę, brązową jak orzech, pokrywała siateczka zmarszczek. Suta, barwna spódnica sięgała do kostek, a jaskrawoczerwona chustka ciasno przylegała do głowy. Wydawało się niemożliwe, by kryła pod sobą włosy.

- Witaj! - młodzieńczym głosem krzyknęła kobieta do Cage'a. Ten rzucił się po schodach i po chwili trzymał ją w serdecznym uścisku.

Melanie obserwowała tę parę i po raz pierwszy w życiu poczuła ostre ukłucie zazdrości właśnie o tę starą, bosą Indiankę. Miłość, którą ją darzył, była widoczna w każdym jego ruchu, w sposobie, w jakim ją obejmował, w jego wesołym, dźwięcznym śmiechu. Z dojmującym bólem musiała przyznać, że uczucia, które ona nie tak dawno w nim wzbudziła, na pewno nie przepelniły go taką radością.

Spuściła wzrok. Była tu nieproszonym gościem.

- Chodź, Melanie! - doleciał do niej jego beztroski głos.

Z niechęcią wspinała się po schodach. Ciszę przerywało głośnie stukanie jej ciężkich kaloszy o stopnie.

To obuwie tak samo do mej nie pasowało, jak ona do Everglades. Powtarzała sobie w nieskończoność, że nie powinna była tu przyjeżdżać. Nie czuła się u siebie ani na ukochanych mokradłach Cage'a, ani w tym nędznym szałasie starej kobiety.

Dotarła do szczytu schodów. Indianka odwróciła oczy od Cage'a i popatrzyła na nią. Miała ten rzadki dar, że jedno spojrzenie wystarczało, by inni znaleźli się pod jej wpływem. Może wynikało to z dostojeństwa i spokoju starości, a może z charyzmatycznej osobowości, o której politycy, tacy jak Beau, mogli tylko marzyć. Cokolwiek to było, Melanie poczuła się przytłoczona własną małością.

Silne, zniszczone dłonie chwyciły jej ręce, a czarne, błyszczące oczy zdawały się zaglądać do jej duszy. Pomarszczoną twarz staruszki opromienił uśmiech.

- Jesteś pierwszą kobietą, którą Asi przyprowadził do mnie - powiedziała cicho. Mówiła z wyraźnym południowym akcentem, każde słowo wypowiadając powoli i dokładnie, jakby angielski był tylko językiem wyuczonym.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt - szczerze oznajmiła Melanie.

- To zaszczyt dla nas obu. Jak masz na imię, dziecko?

- Melanie.

- Mów do mnie babciu. Wszyscy tak mówią. Nawet on. -

Zachichotała i kościstym palcem wskazała Cage'a.

- Jesteś jego babcią?

- Nie, skądże. Nie miał tyle szczęścia, by moja krew płynęła w jego żyłach. - Włożyła dłoń Melanie pod swoje ramię i poprowadziła ją do cienia, pod dach. - Chodź. Ty też, Asi. Odpocznijmy, póki słońce praży.

Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami w niemal pustym szałasie i pili gęsty, słodki sok z ręcznie toczonych czarek. Podczas gdy staruszka i Cage rozmawiali o ludziach noszących przedziwne nazwiska, Melanie w milczeniu gładziła matę, na której siedzieli. Była uderzająco podobna do chodnika w chacie.

- Podoba ci się?

Uniosła wzrok, by spojrzeć prosto w dwoje czarnych oczu.

- Jest bardzo piękna.

- Zrobię ci taką na prezent ślubny - oznajmiła staruszka.

Melanie uśmiechnęła się niepewnie. Skąd ta kobieta wiedziała o jej małżeństwie? Odsunęła z czoła wilgotne kosmyki i ruchem ramion odrzuciła włosy, spływające na plecy. Było jej za gorąco.

- Mogę ci zapleść warkocz. Robiłam to moim córkom, a potem wnuczkom, jeszcze kiedy pale pod tym szałasem obmywała woda.

Melanie już miała przecząco pokręcić głową.

- Cicho... Nic nie mów. - Staruszka przysunęła niski stołek, usiadła za nią i zatopila palce w jej splątanych włosach. - Będzie ci o wiele chłodniej.

Plotła i nuciła coś pod nosem. Melanie czuła, jak mięśnie jej szyi i ramion rozluźniają się, niemalże wbrew jej woli.

- Robię warkocz z promieni słońca, Asi.

- Przyprowaździłem Melanie, żeby wysłuchała jednej ze starych legend, babciu.

- Naprawdę? Znam je wszystkie. Którą mam opowiedzieć?

- Ona nazywa się Melanie Annabelle Brooks - powiedział cicho.

Stare, pokręcone palce znieruchomiały.

- Chce usłyszeć legendę o swojej prapraprababce - dodał.

Po chwili, która przeciągała się w nieskończoność, kobieta westchnęła, jakby do tej pory wstrzymywała oddech. Melanie czuła powiew powietrza, który przeniknął przez jej włosy i połaskotał skórę.

- Czy to prawda, dziecko? Jesteś prapraprawnuczką Annabelle Brooks?

Melanie kiwnęła głową. Dziwiło ją, dlaczego atmosfera aż gęstnieje od rosnącego napięcia.

- Jak ją znalazłeś, Asi? - szepnęła staruszka.

- Właściwie to ona znalazła mnie.

Palce znów zaczęły splatać jej włosy.

- Wobec tego dobrze... - Indianka odchrząknęła i zaczęła opowieść. - Jest to historia, w której prawda i legenda są utkane razem jak przędza w tej macie, na której siedzimy, jak pasma w twoim warkoczu...

Melanie przeszedł dreszcz. Tak zapewne czułoby się dziecko mające usłyszeć pierwszą opowiastkę o duchach przy obozowym ognisku.

- Kiedyś żył młodzieniec, który jeździł po prawicy Osceoli, największego wojownika Seminolów. W czasie najazdu na teren zwany Creek County został ranny i odłączył się od reszty. Znalazł schronienie w głębokim lesie. Pewnego dnia zobaczył kobietę siedzącą na brzegu strumienia. Miała włosy koloru słońca... jak twoje, dziecko... i wojownika oślepiło jej piękno. Siedział w ukryciu, póki łania i młody jelonek nie przyszły do wodopoju. Wtedy kobieta stała się drzewem...

- Chodzi o to, że nie ruszała się - wtrącił Cage.

Staruszka zniecierpliwiona plasnęła językiem.

- Ona wszystko rozumie. Pod tymi włosami jest bystry umysł. Widzę to - powiedziała ostro.

Spuścił wzrok jak zganiony chłopiec, ale Melanie spostrzegła, że tłumy uśmiech.

- Piękno saren tak wzruszyło kobietę, że z jej oczu zaczęły płynąć łzy i tak wojownik dowiedział się, że ma dobre serce. Wyszedł i rozmawiali oczami, i zakochali się w sobie, nim powiedzieli choćby jedno słowo.

Cała akcja rozgrywała się przed oczami Melanie jak na filmie. Ciemnoskóry mężczyzna z oczami jak Cage najpierw zaskakuje, a potem oczarowuje młodą kobietę. Słyszała już wiele komplementów, ale nigdy nie widziała męskiej twarzy, która by jej mówiła tak wiele.

- Zaprowadziła młodzieńca do siebie znanego miejsca i tam zajęła się jego ranami. Ukryła go przed wszystkimi. Przez cały czas, gdy wracał do zdrowia, kochali się tylko oczami i sercami, ponieważ on był indiańskim wojownikiem, a ona żoną ważnego białego człowieka. Tylko ich dusze mogły się połączyć. Potem pewnego dnia zniknęła. Jej mąż myślał, że umarła, a ona tylko zaprowadziła swojego wojownika do domu.

Staruszka przerwała na chwilę.

- Nazywała się Melanie Annabelle Brooks i została z Seminolami wiele dni. Nauczyła się zwyczajów plemienia i życia tutaj. Rodzice młodzieńca nazywali ją córką z wdzięczności za uratowanie życia ich syna. Inni nazywali ją białą Seminolką. Mówią, że w dniu, w którym wyruszyła w drogę powrotną, niebo patrzyło na wojownika i białą kobietę i płakało, bo w ich oczach było widać, jak pękają im serca.

Melanie siedziała nieruchomo. Tak wiele wiązało ją z kobietą, która zmarła ponad sto lat temu! Tamta również znalazła miłość w Everglades i musiała z niej zrezygnować.

Nie wstydziała się łez, choć Cage patrzył na nią cały czas.

- To twoja legenda, dziecko - mamrotała stara kobieta. Poskręcany mi ze starości palcami wzięła Melanie pod brodę i łagodnie otarła jej policzki.

- Nie powinnaś płakać. Dzisiaj jest wielki dzień. Koło się zamyka.

- Co to znaczy? - Melanie zeszywniała.

- Asi? - Oczy staruszki przeszywały Cage'a na wylot.

- Dlaczego zwracasz się do niego w ten sposób?

- Bo to jego imię.

Cage dostrzegł jej pytające spojrzenie.

- Benjamin Osceola Cage. Tak brzmi moje pełne nazwisko.

- Benjamin Asi-Vaholo Cage - poprawiła go kobieta. - Tak to brzmi w naszym języku i tak właśnie się nazywasz. - Spojrzała na Melanie z uśmiechem. - Jak wszyscy potomkowie tego wojownika. Asi jest prapraprawnikiem młodzieńca, którego uratowała twoja prapraprababka.

- Ależ to wprost nie do wiary! - Melanie spojrzała na Cage'a oczami rozszerzonymi ze zdziwienia. Dlaczego sam nie opowiedział jej tej legendy, gdy tylko zorientował się, kim ona była? Patrzyła na niego dłuższy czas, próbując odcyfrować, jakie uczucia kryje jego całkowicie spokojna twarz.

- Nie powiedziałaś ani słowa. Nawet nie wiedziałam, że jesteś Seminolem - wykrztusiła w końcu bez sensu.

- Pokolenia rozrzedziły trochę krew. Ale duch pozostał silny. W głębi serca jest Seminolem. Nosi w sobie ducha swojego przodka, jak ty

nosisz w sobie ducha tamtej Melanie. A teraz koło się zamyka. W was nareszcie spotkają się serca waszych przodków.

- Staruszka promieniała radością. - To wielki dzień. Jestem szczęśliwa, że go dożyłam.

- Zbieg okoliczności. Nic poza tym, babciu - powiedział głosem tak obojętnym, że sprawił Melanie ból. - Ona nie pasuje tu tak samo jak jej babka. Koło się nie zamyka.

Stara kobieta była zupełnie nie poruszona jego słowami.

- Tak uważasz? Nawet ty, Asi, nie jesteś na tyle silny, by zmienić los. Koło się zamyka i nic nie możesz zrobić, by to powstrzymać.

Nagle zerwał się i rzucił do wyjścia. Z tupotem zbiegł po schodkach. Indianka nawet nie drgnęła ani nie spojrzała za nim.

- Mężczyźni zawsze robią tyle huk, kiedy ogarnia ich strach, prawda? - rzuciła w zamyśleniu.

- Nie uważam, żeby Cage... Asi... bał się kogoś. Z niewiadomych przyczyn to stwierdzenie ją rozśmieszyło.

- Ciebie, moje dziecko. Czy tego nie widzisz? Melanie nic nie rozumiała.

- Sprawiaś, że chce cię kochać, a to przerażające dla mężczyzny, który boi się miłości.

- Boi się miłości?

W oczach starej kobiety spostrzegła smutek.

- Może myśli, że wyjedziesz jak tamta Melanie albo jak jego matka. Nie chce dać swojej miłości, a więc i życia. Jego ojciec to zrobił, a kiedy został sam, był skończony. Chyba wtedy Asi zdecydował, że łatwiej jest w

ogóle nie kochać. - Jej twarz pomarszczyła się jeszcze bardziej w łagodnym uśmiechu.

- Chyba tylko kobiety to rozumieją. Miłość i ból są nierozłącznymi towarzyszami, jak legenda i prawda, radość i cierpienie. Asi może nigdy nie pozwoli sobie na miłość, ale czy to naprawdę takie ważne? Ty go kochasz i to uczucie należy do ciebie na zawsze. Nawet on nie może ci go zabrać, chyba że mu pozwolisz.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Koło się zamyka. Bez przerwy powtarzała to zdanie. Wracali do kajaka i Cage popędzał ją co chwila. Chciał szybko oddalić się od szalasu, jakby poglądy staruszki na los były zaraźliwą chorobą, od której należało uciekać.

Szła tam, gdzie ją prowadził. Zatopiona we własnych myślach na nic nie zwracała uwagi. Po raz pierwszy to on źle znosił panujące między nimi milczenie.

- Babcia się starzeje - burknął, kiedy odpychał kajak od brzegu. - Nie przykładaj zbyt wielkiej wagi do tego, co mówi. Żyje tymi starymi legendami.

Melanie uśmiechnęła się. Ciekawe, jak zareagowałby, gdyby usłyszał rozmowę między nią i Indianką?

- Ty w nie nie wierzysz? - spytała.

Wzruszył ramionami i energicznie uderzył wiosłami o wodę.

- Wierzę, że to się wydarzyło, ale nie wierzę, że historia sprzed ponad wieku ma coś wspólnego z teraźniejszością. Usiądź porządnie. Nie wystawiaj rąk poza łódź.

Szybko położyła dłonie na kolanach i zaczęła obserwować srebrzysty dziób, przecinający ciemną wodę. Rewelacje, które usłyszała tego popołudnia, wstrząsnęły nią do głębi. Już przedtem zaskoczyła ją wiadomość o pobycie jej prapraprababki w tych stronach. To, że kochała przodka Cage'a, było takim zbiegiem okoliczności, który kazał wątpić w logikę i zdrowy rozsądek.

Przypomniała sobie jego zdumienie, gdy mu się przedstawiła. Nareszcie zaczynała rozumieć wszystko, co mówił później o wielkich nazwiskach, które są gwarancją wielkich czynów. Jeżeli to była prawda, oboje musieli jeszcze dużo zrobić, by sprostać równie wysokim wymaganiom.

Patrzyła na nieprzeniknioną ścianę zieleni, wzdłuż której płynęli, i zadawała sobie pytanie, czy mogłaby zdobyć się na taką odwagę jak jej imienniczka. Tamta poświęciła przecież wszystko - dobrą opinię, małżeństwo, nawet miejsce w historii rodziny - dla miłości do człowieka, który i tak nigdy nie mógł do niej należeć. Nic dziwnego, że stała się legendą.

Palcami przesuwiała po misternie splecionym warkocz. Czy pierwsza Melanie Brooks też nosiła taki warkocz? Jak mogła wrócić do męża, jeśli pokochała innego mężczyznę?

Kiedy dotarli wreszcie do chaty, słońce dotykało już wierzchołków drzew. Cage od razu ściągnął koszulę, usiadł na krześle i zaczął zdejmować buty. Melanie przycupnęła na łóżku i obserwowała, jak starannie odstawił kalosze, a potem pochylił się do przodu i oparł łokcie na udach.

- Staruszka zakochała się w tobie.

Był to powód do cichej satysfakcji. Przynajmniej ona.

- Część tego wszystkiego to oczywiście legenda... Dla Seminolów legendy są bardzo ważne... - przerwał. - Wyglądasz jakoś inaczej...

- Tak? Pewno przez to uczesanie.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Wykorzystała ten moment, by dobrze zapamiętać jego egzotyczną, jakby rzeźbioną twarz i oczy,

zawsze patrzące ze stoickim spokojem. Ten obraz miał jej towarzyszyć przez całe życie.

- Trzeba zrobić coś do jedzenia. Zaraz zupełnie się ściemni. Zapal lampy. - Wstał raptownie.

Siedziała i patrzyła na coraz ciemniejsze niebo. On naprawdę myślał, że uważała, gdy tłumaczył jej, jak zapalać lampy. Miała to zrobić bez jego pomocy. Tak samo spodziewał się, że będzie brała prysznic poza domem, przywiązywała łódź i nadążała za nim, gdy milowymi krokami przemierzał las. Był żywym dowodem na złośliwość losu. Niezaradna, rozpieszczona Melanie Brooks musiała zakochać się w mężczyźnie, który oczekiwał od niej o wiele więcej niż ktokolwiek przedtem...

Nagle zaczęła rozumieć. Przecież ona to wszystko robiła! Wcale nie była bezradną, rozpieszczoną Melanie Brooks. Wręcz przeciwnie, cały czas chciała sprostać jego wymaganiom.

Było to niczym objawienie. Nareszcie spostrzegła, co stanowi istotę jej miłości do Cage'a. Nie chodziło nawet o uczucia, które potrafił w niej wzbudzić, ale o zmianę jej nastawienia do samej siebie.

Przypomniały jej się słowa starej kobiety o miłości, której on nie będzie w stanie jej zabrać, chyba że mu sama pozwoli. Spojrzała w drugi koniec pokoju. Cage, odwrócony tyłem, przygotowywał kolację. Od rana chowała swoje uczucia jak wstydliwą tajemnicę, dlatego że nie były odwzajemnione. Teraz jednak nie tylko pozwalała, by odebrał jej miłość, ale sama ją oddawała, jak krwawą ofiarę na ołtarzu własnej dumy.

Nareszcie uporządkowała swoje myśli. Może nigdy nie będzie należał do niej, ale miłość tak. Miłość do niego była jej własnością.

Brakowało dzwonów, fajerwerków albo salw armatnich, które uświetniłyby ten wspaniały moment, kiedy Melanie Brooks po raz pierwszy wzięła swoje życie we własne ręce. Od kołyski po zaręczyny wszystko jej dawano, zanim nawet zdążyła o coś poprosić.

Było już niemal za późno, by nauczyła się sama czegoś żądać i brać.

Cage, pochylony nad blatem, zapalał kuchenkę gazową. Wstała powoli z łóżka. Właśnie wyprostował się i przeczesał dłonią włosy. Obserwowała go z drugiej strony pokoju. Te włosy otrzymał w darze od przodków. Może jego indiańska krew była rozrzedzona, ale jej wpływ pozostał widoczny. Ciemny koloryt, klasyczne, wysokie kości policzkowe i pełne zmysłowe usta - wszystko to odziedziczył. Ducha również.

Jej ręce wykonały już swoje zadanie. Stała nieruchomo, zastanawiając się, dlaczego nie czuje strachu. Przez całe życie czegoś się bała: ciemności, węży, a nawet zrobienia najmniejszego ruchu bez czyjegoś polecenia. Teraz nieustraszenie dążyła ku nieznanemu i sama dokonała takiego wyboru.

- Asi - szepnęła.

Na dźwięk tego imienia natychmiast odwrócił się twarzą do niej. Cofnął się niemal w tej samej chwili.

Była całkowicie naga. Ubranie leżało w nieładzie wokół jej stóp.

Obserwowała, jak jego oczy przesuwają się po jej ciele i wracają do twarzy. Po raz pierwszy w życiu uwierzyła w swoją urodę, którą przecież chwalono i przedtem. Nie musiała widzieć swojego odbicia w lustrze, by mieć pewność, że jest teraz bardzo podobna do portretu. Zawsze myślała o tym, co kryje się za zagadkowym uśmiechem tamtej kobiety. Nawet podejrzewała ją o tajemniczy romans. W rzeczywistości znaczył on o

wiele więcej. Wskazywał, jak mało ważne jest spełnienie miłości w porównaniu z jej zrozumieniem. Samo odkrycie, że się pojawiła, stanowiło olbrzymie osiągnięcie... I przywoływało na twarz uśmiech.

Kąciki jej ust uniosły się, gdy z satysfakcją spostrzegła zmianę na twarzy Benjamin. Czowała się cudownie silna, niemal nie do pokonania. Czemu zawdzięczała taką metamorfozę? Może sprawił to duch Melanie Brooks nadal obecny tu, w Everglades? A może tkwił on w niej cały czas, tylko ona go tłumiała?

- Co ty wyprawiasz? - burknął.

Spojrzała mu prosto w oczy. Bała się, że za chwilę zadrżą jej usta. Nigdy przedtem nie uwiodła mężczyzny i nie wiedziała, co teraz powiedzieć.

- Kontynuuję to, co zaczęliśmy dziś rano.

Jego oczy zwięzły się. Widziała w nich lęk, o którym mówiła starszuszka. Lęk przed miłością, zaufaniem, zaangażowaniem.

- Nie musisz czuć do mnie miłości - próbowała go uspokoić. Sama mówiła przez ściśnięte gardło. Miała nadzieję, że on nie zauważy. - Nie oczekuję tego. To nie na zawsze. Tylko na teraz.

Po jej słowach zapadła głęboka cisza. Patrzył na nią surowym, niemal pełnym nienawiści wzrokiem. Zaczęła się zastanawiać, co zrobi, jeśli ją po prostu zignoruje.

W mgnieniu oka pokonał dzielącą ich przestrzeń. Uklęknął u jej stóp i objął jej nagie biodra. Patrzyła na jego splecione włosy, których czerń wyraźnie odcinała się od jej białej skóry. Zagłębiła w nich palce i przyciągnęła go bliżej do siebie. Pod wpływem jego pocałunków już miała osunąć się na ziemię, gdy chwycił ją w ramiona i zaniósł na łóżko.

- Dam ci jeszcze jedną szansę. Pomyśl, co robisz. Nie wiem, jakie powody tobą kierują. Pamiętaj, że nie będą wystarczającym usprawiedliwieniem, gdy wrócisz do domu. - Stał obok łóżka i pochylił się nad nią.

Spojrzała na niego ze smutkiem. Jakie to dziwne, że zastanawiał się nad powodami, kiedy mógł je zobaczyć w jej oczach. Czy nie dostrzegał, że dla niej było to potwierdzenie miłości? Chciała wyrazić swoje uczucia słowami. Nie bała się przecież okazać ich ciałem. Powstrzymywały ją wyjaśnienia starej kobiety, dotyczące obaw Cage'a. On sam przyznał, że oczekiwała więcej, niż mógł jej dać. Gdyby teraz dowiedział się, że pragnie, by należał do niej na zawsze, może nie uzyskałaby nawet tej jednej jedynej chwili. Postanowiła nic nie mówić.

W następnej chwili zapomniała, że jej nie kochał. Było to po prostu niemożliwe. Taka łagodność i czułość mogły wynikać jedynie z miłości. Słyszała też jego przyspieszony oddech i bicie serca, gdy dłońmi i ustami poznawał jej ciało.

Obserwowała rozszerzonymi oczami, jak wstał i zrzucił z siebie ubranie.

- Poczekaj. Chcę na ciebie popatrzeć.

To żądanie zdziwiło go trochę, ale stał posłusznie. Na jej twarzy malowały się sprzeczne uczucia, dziwna kombinacja zaskoczonych niewinności i namiętności. Wyciągnęła dłoń, by dotknąć jego uda. Potem przesunęła drżącą rękę po jego umięśnionym brzuchu.

- Melanie - szepnął. Powoli, jakby z wahaniem, osunął się na jej ciało. Patrzył na nią błyszczącymi, czarnymi oczami. Pozornie wyglądały groźnie, ale wiedziała, że tym spojrzeniem pyta po raz ostatni, pozwala jej

wycofać się, nim będzie za późno. Kochała go jeszcze bardziej za ten dar: możliwość wyboru.

- Asi szepnęła mu do ucha, bo w tej chwili żadne imię nie należało do niego bardziej niż to. Koło się zamknęło.

Kiedy się obudziła, chata już tonęła w porannym słońcu. Na zewnątrz nocna muzyka owadów ustępowała miejsca rannemu świergotowi ptaków.

Przekreśliła się na bok w pustym łóżku. Wzrokiem zaczęła szukać Cage'a. Gwałtownie usiadła na łóżku, gdy odkryła, że jest sama.

- Benjamin? - szepnęła, czując, jak niewytłumaczalny strach ściska ją w dołku.

W nocy myślała, jak będzie wyglądał poranek, jak Benjamin zachowa się w jasnym świetle dnia po tak pełnej namiętności nocy. Czy będzie czuły? Chłodny? Albo, nie daj Boże, zlekceważy wszystko i zaproponuje, żeby pozostali dobrymi przyjaciółmi? Nie wiedziała, czego oczekiwać, ale zupełnie nie spodziewała się, że go nie będzie.

Analizowała dobiegające z zewnątrz odgłosy budzącego się lasu Everglades. Rozpoznała wśród nich szum prowizorycznego prysznicza. Odetchnęła z ulgą. Oparła poduszkę o ścianę, usiadła i podciągnęła prześcieradło, by zakryć nim piersi.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi. Obróciła ku nim głowę. Miała wrażenie, że wszystkie uczucia skumulowały się w jej oczach.

- Dzień dobry - szepnęła.

Słońce padało mu na plecy. Stał w samych dzinsach na szeroko rozstawionych nogach. Na jego opalonych barkach lśniły kropelki wody.

Biały ręcznik zwisał z dłoni. Patrzył na nią, jakby nie wiedział, co ma dalej robić.

- Dzień dobry - powiedział w końcu.

Melanie oczekiwała, że przejdzie przez pokój, weźmie ją w ramiona i położy kres tej niezręcznej sytuacji. Nie zrobił jednak ani kroku.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Dobrze, zupełnie dobrze. - Próbowała swobodnie się uśmiechnąć.

Do diabła! To było okropne! Prowadzili beznadziejną rozmowę, która przypominała powitanie znajomych na ulicy. Czy będą udawali, że nic się nie wydarzyło?

- Nie żałujesz?

- Skądże.

Spuścił wzrok i wpatrywał się w ręcznik, jakby rozważał, po co go trzyma.

- Kiedy wracasz do domu? - spytał nie podnosząc oczu.

Zranił ją tak bezceremonialnym zachowaniem.

- Samolot przylatuje po mnie jutro rano - powiedziała, a w myślach dodała: „chyba, że poprosisz mnie o pozostanie. Tylko tyle powinienesz zrobić. Poprosić. Proszę, poproś...”

Potrząsnął głową. Z jego mokrych włosów posypały się kropelki wody. Wyglądał teraz bardzo chłopięco.

- Czy nadal zamierzasz złożyć sprawozdanie kongresmenowi?

W jej myślach zapanował chwilowy zamęt. Prawie zapomniała, po co tu w ogóle przyjechała. Fakt, że podjął ten temat zaraz po ich wspólnej nocy, świadczył o chęci zanegowania wszystkiego, co przeżyli.

- Tak - zdołała wykrztusić. - Wydaje mi się...

- Dobrze. W takim razie musisz jeszcze dużo zobaczyć. Zaraz wyruszamy.

Była wstrząśnięta chłodem w jego głosie i zachowaniem. Wstrzymała oddech w nadziei, że pomoże jej to zapanować nad uczuciami. Sama podjęła decyzję. Wiedziała, że nie może liczyć na jego miłość i nie miało to dla niej znaczenia. Chciała tylko obdarzyć go własną. Czego oczekiwała? Czy cały czas tliła się w niej jakaś mała isierka nadziei, że miłość zrodzi się po fizycznym zbliżeniu?

- Chciałabym się umyć - powiedziała nieswoim głosem. Patrzyła na miejsce, gdzie jej stopy tworzyły niewielki wzgórek pod prześcieradłem. W chacie było tak przeraźliwie cicho, że słyszała swój własny oddech.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, nim odezwał się ponownie. Kiedy podniosła wzrok, stał w tym samym miejscu, co poprzednio i patrzył na nią ze zwierzęcą czujnością.

- Zaczę przygotowywać śniadanie - powiedział zimno. - Powinno być gotowe, kiedy wyjdiesz spod prysznic.

Odczekała, póki nie odwrócił się do niej plecami. Dopiero wtedy sięgnęła po ubranie. Pośpiesznie zrzucone zeszłego wieczora leżało koło łóżka, tworząc bezkształtną, brunatną masę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tym razem prysznic na świeżym powietrzu nie sprawił jej dziecinnej, beztroskiej przyjemności. Nie patrzyła z podziwem na odważne ważki, skuszone tęczowymi kroplami wody. Odganiała je niecierpliwymi ruchami dłoni, gdy przeszkadzały jej w myciu.

Mocno tarła ciało myjką, jakby to mogło dać jej zapomnienie. Przy ostatnim płukaniu szczypała ją skóra, ale niemal cieszyła się, że ból odciąga jej myśli od ważniejszych problemów. Dotknęła gumki otaczającej warkocz. Teraz już tylko ten splot łączył ją, jeżeli nie z Cage'em, to przynajmniej ze starą kobietą, a przez nią z tamtą Melanie Brooks. Nie rozpuściła włosów. Włożyła je pod prysznic i wyżeła.

Kwiecisty szlafrok przypominał, jak była wesoła i radosna poprzednim razem, gdy go włożyła. Cieszyła ją wtedy niewinna, letnia przygoda. Nie minęły nawet dwa dni, a nie mogła na niego patrzeć.

Zapach smażonych placków kukurydzianych poczuła już w połowie schodów. Zastanawiała się, jak Cage zrobił ciasto bez świeżych jajek. Stał na ganku, trzymając w ręku dwa talerze ze stosami chrupiących rumianych krążków. Obrzucił ją obojętnym wzrokiem. Jego oczy rozbliły nieco, gdy zatrzymały się na warkoczu.

- Nie jestem głodna - powiedziała zadowolona, że jej głos zabrzmiał zupełnie naturalnie. Wybrała miłość wbrew wszelkim przeciwnościom, ale musiała się jeszcze wiele nauczyć. Prawdziwą próbą uczucia było przetrwanie następnego poranka, gdy ze strony mężczyzny można było spodziewać się pogardy. Jej poprzedniczka spotkała się z tak wielkim

potępieniem, że mąż chciał, by przestała istnieć dla potomnych. W porównaniu z tym jej łatwiej będzie znieść klęskę.

- Musisz zjeść teraz coś konkretnego. Będziemy w terenie cały dzień.

Usiadł, postawił jeden talerz na kolanach, a drugi podał jej. Wzięła go niechętnie i zajęła krzesło obok niego.

Cage był już ubrany. Nogawki płóciennych spodni wcisnął w cholewy kaloszy. Pod rozpiętą grubą koszulą widziała czarny podkoszulek. Czowała się źle, siedząc obok w szlafroku i na bosaka. Uznała jednak, że udawanie skromności w tej sytuacji byłoby po prostu śmieszne.

- Znów tu są.

- Kto?

- Nasze sójki. - Wskazał palcem rodzinę ptaków, które widzieli poprzedniego ranka.

Powiedział „nasze”, co sprawiło jej ból. Oczywiście, byk to tylko figura retoryczna, a mogła znaczyć tak wiele. Nasze sójki. Te dwa małe słowa stworzyły w jej wyobraźni obraz poranków z Cage'em u boku.

- Strasznie hałaśliwe, prawda? - zauważyła pogodnym tonem. Zakochała się bez wzajemności, ale pragnęła, by przynajmniej jej cierpienie pozostało tajemnicą.

Odnosiła wrażenie, że odgrywają gorszą komedię, udając zażyłych znajomych, gdy tak siedzieli, rzekomo ogromnie zainteresowani głośnymi figlami ptaków. Cage powoli i systematycznie kroił kolejne placki, a Melanie dłubała w swoich.

- Nic nie jesz.

Zmusiła się, by włożyć w usta niewielki kęs, przeżęła go i połknęła.

- Powiedziałam ci, że nie jestem głodna.

Westchnął ciężko, a kiedy znów się odezwał w jego głosie wyczuła napięcie.

- Nie możemy się tak zachowywać przez cały dzień, Melanie.

Musimy porozmawiać o zeszłej nocy.

- A cóż można powiedzieć o zeszłej nocy?

- Że popełniliśmy błąd. Że nie powinienem być pozwolić na to, co się stało.

- Na nic nie pozwalałeś. - Z trudem opanowała drżenie warg. - Ja o wszystkim zdecydowałam. To był mój wybór, nie twój.

- Nie oczekiwałem, że wybierzesz seks bez miłości - stwierdził zjadliwie. - Ale jeśli to ci wystarczy...

Melanie odwróciła powoli głowę i spojrzała na niego. Pogarda to dziwne uczucie. Sprawia ból tylko wtedy, gdy ktoś sam uzna, że na nią zasługuje. A ona miała odmienne zdanie. Nie czuła wstydu.

- Niczego nie żałuję - oznajmiła buntowniczo.

- Nie żałuję ani jednej minuty.

- Ja też nie żałuję - rzucił sucho. - Wolałbym tylko... - zawahał się, a przez jego twarz przebiegł cień bólu.

Nie wiedziała, czy przypadkiem litość nie jest gorsza. Przecież przepraszał ją za to, że jej nie kocha.

- Ja też - powiedziała głucho, wpatrując się w zielen i nic nie widząc.

Ta rozmowa znacznie poprawiła atmosferę, choć przyszła im z takim trudem i właściwie do niczego nie doprowadziła. Sam fakt, że otwarcie się wypowiedzieli, zwolnił ich od odpowiedzialności za wydarzenia zeszłej nocy.

Potem Cage opowiadał, co zamierza jej pokazać w ciągu tego ostatniego dnia pobytu. Wydawał się bardzo obcy i daleki. Z drugiej strony zawsze taki był, poza wczorajszym wieczorem. Ze smutkiem pomyślała, że postronny obserwator na pewno nawet nie podejrzewałby, co ich łączyło. Wyglądali na ludzi, którzy nie znali się zbyt dobrze i nie czuli się swobodnie w swoim towarzystwie.

Włożyła obrzydliwe spodnie i koszulę, rozmyślając nad naturą mężczyzn, którzy zawsze stanowili dla niej zagadkę. Sami często oddzielali seks od miłości, a mimo to niżej cenili kobietę, która postępowała podobnie. Czy to miało jakikolwiek sens?

Ukradkiem spojrzała na Cage'a, który sprzątał po śniadaniu i zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie mogła patrzeć na niego bez bolesnego skurczu serca. Teraz los żądał zapłaty za baśniowe życie, które prowadziła dotychczas.

Na ostatnią wycieczkę wyruszyli kajakiem, którym mieli dopłynąć do poduszkowca. Usadowiła się bliżej dzioba, jeszcze bardziej bezużyteczna niż zwykle. Cage wiosłował z tyłu przy sterze. Sama nigdy jeszcze tego nie próbowała, a miała już dwadzieścia cztery lata! Zrobiła w myślach listę rzeczy, których do tej pory nie robiła. Lista była przerażająco długa.

Rozpoznała trasę prowadzącą do szałasów starej kobiety. Potem skręcili na zachód przy pierwszym rozdwojeniu wąskiego strumienia. Po krótkiej chwili znaleźli się w cieniściej lesie, którego całe podszycie było pod wodą. Nie mogłaby rozróżnić kierunków. W każdym drzewa wyglądały tak samo.

- Płyniemy dłuższym szlakiem - powiedział Cage. Lawirował łodzią między naziemnymi korzeniami, które wyrastały z czerwono-brązowych pni powyżej poziomu wody. - Jeżeli będziemy mieli szczęście, zaskoczmy bociany w miejscu, gdzie zwykle łowią ryby. Odkryłem je w tym roku.

Melanie popatrzyła w górę przez rozłożyste gałęzie pokryte błyszczącymi, owalnymi liśćmi i usiane bladżółtymi kwiatkami.

- Trzeba aż szczęścia? - spytała z roztargnieniem. - Czy bociany to coś wyjątkowego?

Widziała już tyle wodnych ptaków. Kolejny gatunek nie robił na niej żadnego wrażenia.

- Nigdy nic nie wiadomo. Rzadko, bo rzadko, ale je widuję i wtedy zawsze zadaję sobie pytanie, jak długo jeszcze tak będzie. Kiedyś mieszkało ich tu tysiące. W tej chwili zostało tylko paręset.

- Ach, tak! Co się z nimi stało? - Usiadła twarzą do niego. - Choroby? Kłusownicy?

- Ochrona przyrody - oświadczył sucho. - Źle pojmowana ochrona przyrody. Jeden z nie zamierzonych i nie przewidzianych skutków ubocznych sławetnego systemu gospodarki wodnej. W jej wyniku, gdy nastaje pora sucha, zalewane są łowiska bocianów. Ryby pływają głębiej i ptaki nie mogą ich dosięgnąć. Tak jak w przypadku innych gatunków, po prostu przestają się rozmnażać, ponieważ nie mają pod dostatkiem jedzenia. Właściwie już od dziesięciu lat nie było prawdziwego sezonu lęgowego. Jeszcze rok lub dwa, a bociany zajmą miejsce w muzeum obok dinozaurów.

- Nie wiedziałam - mruknęła zakłopotana.

- Wszystko to jest w sprawozdaniu, które miałaś przeczytać. Pamiętasz? Zapewniałaś, że pod jego wpływem twój narzeczony przeciwstawi się cięciom budżetowym.

Skonsternowana zagryzła usta i znów zwróciła się twarzą do dziobu łodzi. Obiecała przejrzeć raport zeszłego wieczoru.

- Nie dałeś mi go - próbowała się bronić.

- Wiem. Nie miałem kiedy. Wyniknęło coś innego.

- Jak ty się tutaj orientujesz? - Szybko zmieniła temat. Udawała, że całą jej uwagę pochłania szukanie drogi w lesie. - Wszystkie drzewa wyglądają identycznie.

- Widzisz ten łuk przed nami?

Zmrużyła oczy i po chwili w gęstej dżungli dojrzała łuk utworzony przez gałęzie sąsiadujących drzew. Wyglądał jak wrota do jaśniejszego świata.

- Z tyłu rozciągają się tereny porośnięte trawą. Na północ od nich przycumowałem poduszkowiec. Łowisko bocianów jest tuż za pasem głębokiej wody. To rejon aligatorów i węży, więc trzymaj ręce w łodzi.

Natychmiast zdjęła dłonie z burt i położyła je na kolanach. Szeroko otwartymi oczami sprawdzała powierzchnię wody.

Gdy tylko przepłynęli pod łukiem, zaczęły razić ją ostre promienie słońca. Włożyła kapelusz i zawiązała szarfę pod brodą. Nawet w cieniu runda musiała mrugać wielokrotnie, nim jej oczy przystosowały się do światła.

Wyłynęli na wody, które rozdzielały las tropikalny i trawiastą równinę. Prąd zakreślił kajakiem w lewo i powoli znosił na południe. Cage

używał wiosła głównie jako steru, aby łódka trzymała się środka strumienia.

Dryfowali tak ponad kilometr. W końcu dotarli do wysepki. W trawie stało jedno samotne drzewo. Z biciem serca Melanie patrzyła na znajome ociężałe kształty aligatorów, wygrzewających się w słońcu na niewielkiej połaci suchego terenu obok korzeni drzewa. Zesztywniała w nadziei, że ich nie zauważą.

Opływali wyspę. Prąd zwolnił i po chwili zatrzymali się w stojącej, zielonkawej mazi na wysokości plaży aligatorów.

- Wąż - syknął Cage za jej plecami. Pokazał palcem główkę w kształcie klina, przecinającą rzęsę o pół metra od dzioba łodzi. - Jeden z tych, które nazywają bawełnianymi pyskami. Masa ich tutaj.

Melanie zadrżała, patrząc na wijące ruchy obrzydliwego gada. Widziała w nim raczej zło niż grację.

- Czy możemy już odpłynąć? - spytała zaniepokojona. Strach wzbudzały w niej również trzciny całkowicie zarastające trasę.

- Oczywiście, ale nie w tej chwili. - Cage zanurzył wiosło w wodzie i sterował w stronę lasu po lewej stronie. - Wciągniemy kajak na brzeg i trochę rozprostujemy kości. Bociany łowią ryby w płytkim miejscu, tuż za tymi trzcunami. Jeśli się nie pojawią, aligatory powinny nas zabawić przez dłuższą chwilę.

- I węże - mruknęła.

- One też. - Dno kajaka tarło o podmokły brzeg.

- Wskocz i przywiąż nas do tego drzewa. Tak, jak ci pokazywałem, pamiętasz?

- Czy na pewno ziemia jest tu wystarczająco twarda? - Melanie zawahała się. - Kiedy przepływaliśmy przez las, był cały pod wodą...

- Tu jest sucho - powiedział trochę zniecierpliwiony. Próbował utrzymać kajak w bezruchu. - Popatrz na drzewa, krzaki... dąb nie rośnie w stojącej wodzie ani ostrokrzew.

Zacisnęła usta, bo już chciała krzyknąć, że nie jest botanikiem, nie zna się na roślinach i nie wie, które rosną w wodzie. Stała na chybotałej łódce. Z liną w ręku i duszą na ramieniu skoczyła na ląd. O mało nie pocałowała ziemi, gdy uszczęśliwiona odkryła, że się pod nią nie zapada. Szybkimi ruchami rąk, by nie widział ich drżenia, zawiązała sznur wokół korzenia, mającego w obwodzie tyle, co dorosły człowiek. Z zazdrością patrzyła, jak łódka tylko nieznacznie przechylała się na boki, kiedy Cage zwinnie przechodził przez całą jej długość i w końcu zeskoczył na brzeg. Pod pachą niósł niezgrabną paczkę.

- To nasz lunch - wyjaśnił. Podeszedł do olbrzymiego drzewa, rosnącego nieco w głębi, i odgarnął stopą wilgotne liście, którymi była usłana ziemia wokół. - Chodź. Siadaj. Będziemy jeść, pić i oglądać aligatory.

Ruszyła ostrożnie w jego stronę, badając stopą grunt, nim zrobiła krok. W końcu ciężko oparła się o pień.

- Nie jest tu chyba zbyt bezpiecznie - wyznała. Oczy utkwiła w gadach, leżących na słońcu po drugiej stronie wąskiego pasa zielonej wody. Obliczyła, że dopłynęłyby do nich kraulem, gdyby wykonała zaledwie dwadzieścia wyrzutów ramion. Aligatorowi na pokonanie tego dystansu wystarczyłoby chyba pojedyncze mocne uderzenie potężnego

ogona. Podskoczyła, gdy jeden z nich kłapnął zębami na sąsiada, nim znów zapadł w letarg.

- One nam nie grożą, pod warunkiem, że zachowamy stosowną odległość - tłumaczył łagodnie, grzebiąc w paczce. - Poza tym brzeg tutaj jest zbyt stromy, by mogły się wdrapać.

Wzięła od niego nakrętkę termosą wypełnioną po brzegi zimnym sokiem, który łapczywie wypila.

- A węże? A ten bawełniany pysk? On nie miałby żadnych kłopotów z pełzaniem.

- Uspokój się. Sprawdziłem, czy są węże, nim usiedliśmy. - Przypomniała sobie, jak kopnięciami rozrzucił liście, i zbladła. - A jeżeli jakiś zabłądzi w tę okolice, to po prostu będziemy siedzieć nieruchomo, aż nas ominie. One nie polują na ludzi. Nawet bawełniany pysk tego nie robi.

Siedziała bez ruchu, przytłoczona raptownym przyływem nienawiści do węży, aligatorów, upału, gryzących much, soku w plastikowych nakrętkach... parku Everglades. Zrozumiała po raz pierwszy osadników, których wieczną obsesją było ścinanie pierwotnego lasu i palenie prairii. Niszczyli naturalne środowisko stworzeń wzbudzających w nich strach. Dopiero gdy dokonali spustoszenia, mogli przestać się bać.

- Drzysz? - Głos Cage'a był równie czuły, jak dotyk jego ręki na jej ramieniu.

- Chcę stąd odpłynąć - szepnęła, niemal nie ruszając ustami. - Chcę wsiąść do kajaka i opuścić to miejsce... zaraz.

- Co cię aż tak przeraża?

- Proszę. Nic nie rozumiesz. To twój świat. Nie mój.

- Mój też nie - powiedział cicho. Jego oczy powędrowały od zielonej wody, w której pływały jadowite węże, do obrzydliwych bestii na drugim brzegu, a w końcu w stronę jastrzębia, kreślącego kółka na błękitnym niebie. - To ich świat. A przynajmniej był. Ale odpłyniemy, jeśli tak bardzo tego chcesz. Tyle samo możesz chyba zobaczyć z kajaka. Wszyscy turyści oglądają park jedynie z łodzi.

Nie umknęła jej uwagi nagana w jego głosie. Chciał, by zobaczyła i przeżyła więcej niż turyści, a przez to zaczęła szanować, a może nawet kochać dzikie piękno parku. Nie mogła tego zrobić. Niewielka rezerwa nowo zdobytej odwagi już się wyczerpała w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Więcej nie miała.

- Nienawidzisz Everglades, prawda?

- Boję się.

- I strach zmienia się w nienawiść. Zawsze tak jest. Dlatego nasi przodkowie pałali do siebie nienawiścią, z paroma szlachetnymi wyjątkami. - Przechylił głowę i westchnął. - Co za ironia losu! To miejsce potrzebuje obrońcy, jeżeli ma przetrwać. A tu przyjechała kobieta, która go nie cierpi, kobieta tak nieśmiała, że boi się wytyczyć drogę własnego życia.

Melanie wyprostowała się. Czowała jak kora drzewa drapie jej plecy.

- Wczoraj może zasługiwałam na takie słowa - zaczęła niepewnie. - Ale dzisiaj nie.

- Zeszłej nocy straciłaś dziewictwo. Nieśmiałość pozostała. - Pogarda w jego głosie zraniła ją do żywego. Wstał powoli i spojrzał na uwiązany kajak.

Nic w wyrazie jego twarzy nie ostrzegło jej przed tym, co nastąpiło. Klnąc, skoczył do wody. Jedną dłonią trzymał wrośnięty korzeń, a drugą zanurzył w zielonkawej mazi i rozpaczliwie sięgał po koniec białej liny, która odpływała powoli od jego palców.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Obserwowała kajak, który dryfował powoli po pokrytej rzęsą sadzawce w kierunku plaży aligatorów. Za nim wiła się lina jak leniwy, jasny wąż. Wiedziała, że już było za późno. Przez moment jeszcze Cage nie chciał przyjąć do wiadomości swojej przegranej. Z wysiłku nabrzmiały żyły na jego szyi.

W końcu wdrapał się na brzeg. Stał ze zwieszonymi ramionami. Oddychał ciężko. Woda kapiała z nasiąkniętej koszuli i spodni, tworząc kałużę u jego stóp.

- Cholera! - mruknął.

Melanie nie mogła wydobyć głosu. Wszystko to stało się z jej winy. Zostali rozbitkami na zupełnie przerażającym odludziu, bo była tak głupia, tak cholernie nieporadna, że nie potrafiła nawet zrobić prostego węzła.

Cage podniósł wzrok i spojrzał na nią. Skurczyła się w sobie. Oczekiwała całkowicie usprawiedliwionego wybuchu gniewu. Kiedy jednak ich oczy spotkały się, pokręcił tylko ze znużeniem głową. Wybuchnęła płaczem.

- Och, przestań, na litość boską! - Szybko podszedł i wziął ją w ramiona. Nie wiedziała, z jakiego powodu coraz bardziej się rozczuła, czy dlatego, że znów ją objął, nawet jeżeli zrobił to z niechęcią, czy też dlatego, że nie krzyczał na nią, choć na to zasługiwała. Ukryła twarz w dłoniach i przytuliła się do jego piersi.

- To wszystko moja wina. Cholera! Nic... nie umiem zrobić porządnie.

Głaskał ją po plecach, by ją uspokoić.

- Nie twoja - powiedział szorstko. - Moja. Powinienem był sprawdzić linę.

Oczywiście kłamał i oboje o tym wiedzieli. Pragnął ją pocieszyć. Do tej pory nie spotkała się z dobrocią z jego strony i nie oczekiwała jej w tych okolicznościach. Tym trudniej było jej zapanować nad sobą. Długo stała w jego objęciach. Znow szukała w nim oparcia i polegała na jego sile. Doprowadzało ją do rozpaczony kolejny raz poczynione odkrycie, że chce go mieć na zawsze i to marzenie nigdy się nie spełni.

W końcu przestała płakać po prostu ze zmęczenia. Odsunęła się od niego i otarła oczy połą koszuli.

- Co teraz zrobimy? - spytała, pociągając nosem.

- Będziemy improwizować - oznajmił. Uniósł jej podbródek i niemal się uśmiechnął. - Jeśli nie zdołamy złapać tej liny, znajdziemy drogę do poduszkowca przez las, a potem wrócimy po kajak.

- To brzmi zbyt prosto.

- Wszystko jest proste, gdy tylko wiesz, jaki w ogóle masz wybór.

Już dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową, unikając jego wzroku.

- Czy naprawdę można przedrzeć się pieszo przez las?

- Przy pewnym wysiłku. Musielibyśmy jednak wykazać się pomysłowością, by znaleźć bezpieczną trasę. To tylko trzy lub cztery kilometry stąd w dół strumienia, ale jest dużo bagien, które trzeba ominąć.

Wędrówka trwałaby cały dzień. Na razie sprawdzimy, czy nie ma czegoś, czym przyciągnęlibyśmy ten cholerny kajak.

W paczce było kilka opakowań specjalnego jedzenia dla turystów, słodycze, ściśle zwinięta lina, latarka, i apteczka pierwszej pomocy na wypadek ukąszenia przez węża. Melanie wytrzeszczyła oczy. Nosił ją ze sobą, a więc istniało takie niebezpieczeństwo.

- Tego właśnie potrzebujemy - powiedział, wyciągając pętlę z szerokiej gumy.

- Co to jest?

- Jeśli ktoś jest ranny, można tego użyć jako opaski uciskowej - powiedział beznamiętnym tonem. Przymocowywał linę do kółka z gumy. - A teraz zrobię lasso. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się je zarzucić na kajak.

Pojawiła się iskierka nadziei. Z zaciekawieniem patrzyła, jak stanął na samej krawędzi stromego brzegu. Raz za razem rzucał linę. Z pluskiem wpadała w wodę, niepokojąc aligatory. Niektóre wydały z siebie chrapliwe pomruki niezadowolenia i zsunęły się do zielonych głębi. Najlepszy rzut był o dwadzieścia centymetrów za krótki.

- Cholera... Przecież to tak blisko... - mruczał. Rozejrzał się wokół, jakby oczekiwał, że z sąsiedniego drzewa zwiśnie inna, dłuższa lina. Jego wzrok zatrzymał się na grubej, powykręcanej gałęzi, która wystawała z wody. - O proszę, w ten sposób zyskamy te parę metrów, których nam brakuje.

- Nie włącz tam... - zaczęła Melanie, ale on już wdrapywał się po naziemnych korzeniach starego drzewa. Powoli sunął do przodu. W końcu

jego stopy wisiały nad wodą. Jak kowboj na koniu, wyprostował się, zataczając coraz większe koła swoim prowizorycznym lassem.

Z zapartym tchem obserwowała lot pętli nad wodą. Zawisła na chwilę nad słupkiem na kajaku, jakby pozbawiona ciężaru. Potem opadła prosto na cel.

- Udało się! - krzyknęła. Podskakiwała i z radości klaskała w dłonie. Spłoszyła wszystkie aligatory na brzegu. Gwałtownie poruszały ogonami, wzbijając przy tym tumany kurzu.

Nagle rozległ się przeraźliwy trzask. Przez chwilę nic nie rozumiała. Cage rozpląnął się w powietrzu. Potem zobaczyła świeże, jasne drewno, tam gdzie ułamała się gałąź. Podbiegła do brzegu. Jego bezwładne ciało leżało na wpół zanurzone w wodzie. Głowa była tuż obok twardego sęka na gałęzi, która się pod nim zarwała.

- Cage! - krzyknęła. Przykucnęła na brzegu, by złapać go pod pachy, nim całkowicie zsunie się do wody. Ciągnęła go z siłą, której nigdy u siebie nie podejrzewała.

Z wysiłku tętniła jej krew w uszach, a serce waliło jak młotem. Jęczała, wzdychała, płakała i klęła, ale w końcu udało jej się położyć go na ziemi. Nie czując nawet bólu w mięśniach ramion i barków, pochylała się nad nim i szeptała jego imię.

Wyglądał bardzo spokojnie z zamkniętymi oczami i roz pogodzoną twarzą. Jednak jego opalona skóra podejrzanie zszarzała, a zgnieciona trawa pod głową zrobiła się czerwona.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Dotychczasowe życie w cieplarnianych warunkach w ogóle nie przygotowało Melanie do radzenia sobie w takiej sytuacji. Straciła głowę w momencie, gdy spostrzegła rosnącą plamę czerwieni na trawie. Miała sto tysięcy pytań i nie było nikogo, kto by na nie odpowiedział. Wszystkie właściwie sprowadzały się do jednego, zasadniczego. Co robić?

Potem, zupełnie niespodziewanie, ogarnął ją całkowity spokój. Przestała płakać i zaczęła jasno, klarownie myśleć. Musiała przede wszystkim zająć się Cage'em. Sprawdziła tętnicę szyjną. Pulsowała. Uniosła głowę i zagłębiła dłoń w splątane włosy. Delikatnie obmacywała czaszkę, póki nie natrafiła na ranę, z której powoli sączyła się krew. Zdarła z siebie koszulę, zwinęła ją w gruby, twardy rulon i umieściła go bezpośrednio pod raną. Miała nadzieję, że sam ciężar jego głowy wystarczy, by wyrzeć odpowiedni ucisk. Cage wykrwawi się na śmierć, jeśli to nie poskutkuje...

Nie mogła pozwolić sobie na atak hysterii, który w niczym nie pomoże. Czytała przecież, że nawet powierzchowne rany głowy krwawią bardzo obficie. Należy poczekać, by przekonać się, czy jej działania przynoszą efekt.

Co jednak miała robić dalej? Czy powinna go cucić? A jeżeli miał wstrząs mózgu? Czyż nie grozi coś okropnego, jeśli ludzie z wstrząsem mózgu pozostają długo nieprzytomni?

Usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co wiedziała na ten temat. Znowu czuła, że zaraz wpadnie w panikę. Wpatrzona w jego twarz, liczyła bardzo powoli do sześćdziesięciu. W głębi duszy nadal miała nadzieję, że

Cage otworzył oczy i zaczął się śmiać, słysząc jej drżący głos. Może nawet weźmie ją w ramiona i poklepie po plecach. Powie jej, że wszystko będzie dobrze, a ona odetchnie z ulgą, zwolniona od wszelkiej odpowiedzialności. Dotychczas zawsze ktoś się wszystkim zajmował.

Doliczyła do sześćdziesięciu. Cudu nie było. Cage nie ocknął się. Leżał bezwładny i tylko nikłe tętno na szyi świadczyło, że jeszcze żyje.

Westchnęła głęboko, uniosła jego głowę i sprawdziła ranę. Krwawienie zmniejszyło się. Przesunęła dłonią po jego ramionach i nogach. Na szczęście nie miał żadnych złamań.

- Cage... - Pochyliła się nad nim tak, że jej warkocz dotykał jego piersi. - Benjaminie Cage! Słyszysz mnie? - Przyłożyła ucho do jego ust i spróbowała jeszcze raz. - Asi? Powiedz coś do mnie, Asi...

W ciszy słyhać było konika polnego. Jego muzyka dała sygnał innym stworzeniom, które zamilkły przestraszone trzaskiem łamiącej się gałęzi. Zaśpiewał kos ukryty gdzieś w wysokiej trawie. Mała rybka wyskoczyła nad wodę i z pluskiem zniknęła pod jej powierzchnią.

Spojrzała na niego badawczo. Choć nadal był nieprzytomny, jego twarz promieniowała spokojem. Cóż z tego, jeśli robił się coraz bardziej błądy? Cholera, to niesprawiedliwość! Cały świat stanął na głowie! Przecież właśnie silni zawsze zajmowali się słabymi, a nie na odwrót. Co za złośliwe zrzędzenie losu oddało życie tego twardego mężczyzny w ręce bezradnej kobiety, która nie potrafiła nawet prawidłowo zrobić węzła?

Oblizwała wyschnięte wargi. Jak mało ważne i żalosne wydawały się teraz pretensje o to, że jej nie kochał. Przecież jej uczucie istniało niezależnie od tego.

- Kocham cię, Asi - szepnęła. Po raz pierwszy zrozumiała znaczenie tych słów. Do tej pory wierzyła, że miłość jest trudną sztuką dawania i brania. To jednak nie była prawda. Dawanie było najważniejsze, dawanie bez wahania, bez obietnic i nadziei. Tamta Melanie Brooks wiedziała o tym. Teraz ona odkryła, że Cage nie musiał jej kochać, by miłość trwała. Musiał tylko istnieć. Gotowa była poświęcić wszystko, by go uratować.

- Idę, Asi - powiedziała cicho. - Niedługo wrócę. Leż tu spokojnie. Zanim się zorientujesz, będę z powrotem...

Niezgrabnie podparła się dłońmi i wstała. Nogi miała jak z waty.

Dowcip polega na tym, żeby w ogóle nie myśleć, przekonywała siebie. Zdjęła kalosze i płócienne spodnie. Jeżeli zacznie analizować swoją decyzję, na pewno się załamie, a nie ma dublerów, którzy zajęliby jej miejsce.

Jak to powiedział Cage? Wszystko jest proste, kiedy wiemy, jaki mamy wybór. Nie musiała długo się zastanawiać. Wybrała i teraz należało postępować konsekwentnie. Na pewno byłby z niej dumny.

Drogą lądową, przez las, szłaby do poduszkowca całe godziny. Nie wiadomo, czy by go znalazła. Łódką wystarczyło przepłynąć w dół strumienia tylko ze cztery kilometry. Właściwie miała więc tylko jedno wyjście.

Biorąc pod uwagę miejsce i okoliczności, wyglądała śmiesznie w koronkowych majteczkach bikini. Na dodatek została w obrzydliwym, brunatnym podkoszulku. Stała na brzegu i spojrzała na kajak, z którego dzioba zwisały teraz dwie liny. Unosiły się na wodzie dokładnie w połowie drogi między nią i aligatorami. Obliczyła sobie, że musi zrobić dziesięć wyrzutów ramion, jeśli będzie płynęła kraulem. Zaczęła ostrożnie

wchodzić do wody. Miękkie, błotniste podłoże ustępowało z plaskiem pod jej stopami. Dziesięć wyrzutów ramion w jedną i dziesięć w drugą stronę. To wszystko. Była dobrą pływaczką. Mogła to zrobić. Dziecko by to zrobiło.

Zielona rzęsa osiadła na jej kolanach, udach, a potem zabarwiła nieskazitelną biel majtek. Nie patrzyła na wodę, bo wiedziała, że natychmiast zobaczy w niej jadowite węże, olbrzymie żółwie i aligatory z pełnym garniturem zębów, szczerzące się w złowieszczym uśmiechu. Widziałyby je, nawet gdyby ich tam nie było.

Skoncentrowała wzrok na jednym punkcie, na kajaku, od którego promień słońca odbijał się tak mocno, że ją niemal oślepił. Całkowicie skupiona na tych paru centymetrach kwadratowych, zrobiła jeszcze jeden krok. Błoto wsysało i trzymało jej stopy. W pewnej chwili poczuła, że już unosi ją woda. Teraz mogła zacząć powoli poruszać ramionami. Na powierzchni powstawały jedynie małe zmarszczki.

Usłyszała cichy plusk z prawej strony. Nie miała odwagi tam spojrzeć ani dłużej się nad tym zastanawiać. Wyobraziła sobie Cage'a, jak w dniu jej przylotu przemierzał lotnisko, idąc jej na spotkanie. Jeszcze siedem uderzeń.

Coś gładkiego i oślizgłego otarło się o jej łydkę, a potem owinęło wokół nogi. Wąż? Ryba? A może tylko roślina wodna? Właściwie nie ma znaczenia, póki się nie myśli. Przecież wiadomo, że nie polują na ludzi... Może jednak lepiej nie wymachiwać nogami. I zwalczyć w sobie chęć, by krzyknąć na całe gardło.

Kiedy popłynęła do przodu, to coś, cokolwiek to było, zsunęło się z jej nogi. Próbowwała zapomnieć o innych potworach, które mogły czyhać

na nią w czarnozielonych głębiach. Zacisnęła usta tak mocno, że sprawiło jej to ból. Nie spuszczała oczu z jasnej plamy na kajaku. Jeszcze tylko pięć wyrzutów ramion. Znow próbowała wywołać w pamięci obraz twarzy Cage'a.

Jej prawa dłoń przecięła powietrze. Słońce zalśniło w kropelkach wody na skórze. Zanurzyła się bezszelestnie w wodzie, napotykając cienki, węzowy kształt. Melanie zamarła ze wzrokiem nadal utkwionym w kajaku. Bała się spojrzeć w dół, nawet mrugnąć okiem. Wąż poruszył się i z trudem stłumiła okrzyk przerażenia. Potem kątem oka popatrzyła na biały kształt pod palcami. Tak skupiła uwagę na samej łodzi, że zupełnie zapomniała o dwóch linach, które znajdowały się znacznie bliżej. Jedna z nich była teraz w zasięgu jej ręki.

To nie wąż! To nie wąż! - powtarzała gorączkowo. Zacisnęła dłoń na linie i zaczęła zawracać. W połowie obrotu spostrzegła wyraźne poruszenie na przeciwległym brzegu. Zamarła ze strachu. Jeden z aligatorów stanął na grubych łapach i wzniosł pysk do góry. Był nie więcej niż sześć metrów od niej.

Czy może ją wywęszyć? Albo usłyszeć? Myśli przebiegały jej przez głowę jak błyskawice. Próbowała płynąć tak, by nie zmacić wody. W błyszczącym spojrzeniu aligatora widziała ciekawość. Rozważał, czy ma do czynienia ze smacznym kąskiem? Rozchylił długie szczęki i złowrogo kłapnął zębami.

Po raz pierwszy Melanie poczuła chłód wody. Przenikał ją do głębi. Chciała jak najszybciej wrócić do Cage'a, ale mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa.

Ruszaj się! Ruszaj! - krzyczała na siebie. Jednak coś silniejszego niż strach sprawiło, że potrafiła jedynie przebierać nogami na tyle, by nie utonąć. Sparaliżowało ją napięcie wywołane oczekiwaniem na dalszy ruch zwierzęcia. Odetchnęła z ulgą, kiedy aligator zsunął się do wody. Nie musiała już czekać. Zaraz będzie po wszystkim. Zamknęła na chwilę oczy.

Potem z rezygnacją patrzyła, jak płynie w jej kierunku. Jego złośliwy pysk i wylupiaste oczy były ledwo widoczne nad powierzchnią wody. Raptownie skręcił i ruszył w dół strumienia. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

W jej serce powoli wstępowała nadzieja. Obserwowała gada, który sterował ogonem w stronę brzegu obrośniętego trzciną i czystych wód w oddali. Dziękuję, szepnęła za nim, jakby świadomie darował jej życie. Dziękuję, dziękuję, powtarzała, płynąc jak automat, a kajak posłusznie sunął za nią.

Kiedy nareszcie wróciła do Cage'a, jego rozcięta głowa nie krwawiła. Nie był już tak przerażająco blady. Szybko wciągnęła ubranie, a następnie uniosła go delikatnie za ramiona. Nie zastanawiała się, czy zdoła przeciągnąć bezwładne, ciężkie ciało rosnącego mężczyzny. Nawet nie pomyślała, że to zadanie ponad jej siły. Po prostu musiała sobie poradzić.

Jęknął, kiedy go ruszyła, i otworzył oczy.

- Melanie? Co, do diabła?... - Oparł się na łokciu. Drugą rękę chciał położyć z tyłu głowy. - Co się stało?

Chwyciła jego dłoń, by nie uraził rany.

- Nie dotykaj - ostrzegła. - Rozciąłeś sobie głowę.

- Sam doszedłem do takiego wniosku - powiedział sucho. Jego twarz wykrzywił ból. - Czuję się, jakbym stoczył dziesięciorundową walkę z aligatorem.

Z trudem stłumiła wybuch histerycznego śmiechu. Łzy szczypały ją w oczy.

- Gałąź się złamała - tłumaczyła zduszonym głosem. - Spadłeś. Musisz jechać do szpitala...

- Do szpitala? - jęknął. Popatrzył niezbyt przytomnym wzrokiem. - Po co mi szpital? O czym ty w ogóle mówisz?

Zachwiał się i musiała go podtrzymać, by nie upadł.

- Spokojnie... Straciłeś dużo krwi. Czy możesz wstać? Musimy jakoś dojść do kajaka.

- Do cholery! Jasne, że wstanę! - wymamrotał.

Jednak droga do kajaka okazała się prawdziwym sprawdzianem wytrzymałości. Z jego twarzy odpłynęła cała krew, kiedy pomagała mu się podnieść. Próbował ją odciążyć i iść samodzielnie. Z wysiłku aż zgrzytał zębami.

- Cholera, Cage, oprzyj się o mnie! - rozkazała, obejmując go w pasie.

- Myślałem, że nigdy o to nie poprosisz. - Próbował się uśmiechnąć, ale tylko wykrzywił usta w grymasie bólu. Zawisł na niej całym ciężarem ciała.

Mozolnie schodzili ze stromego brzegu. Melanie z trudem wytrzymała napięcie mięśni pleców i barków. W końcu położyła Cage'a na dnie łodzi. Sama usiadła blisko rufy. Jedną ręką trzymała wiosło, a drugą

linę, którą nadal byli przymocowani do korzenia na łądzie. Wygląd Cage'a niepokoił ją. Co chwila przymykał oczy. Bała się, że straci przytomność.

- Nie usypiaj. Powiedz mi, jak dotrzeć do Everglades City.

- W górę strumienia. Osiem kilometrów - stęknął. - Lub w dół strumienia. Półtora kilometra za miejscem, gdzie cumuję poduszkowiec, jest dom strażników.

- Już wszystko wiem - powiedziała szybko. Pochyliła się i pogłaskała jego policzek. - Popłyniemy w dół strumienia. Teraz odpoczywaj. Nic nie mów,

Szybko odwiązała linę i odepchnęła kajak. Dopiero gdy prąd zniósł ich na środek stojącej wody, zorientowała się, jak można sterować wiosłem.

- Melanie?

- Uhm - mruknęła przez zaciśnięte usta, całkowicie skoncentrowana na tym, by skierować łódź w dół strumienia.

- Skąd ten kajak znalazł się na brzegu?

- Popłynęłam i przyholowałam go - odpowiedziała z roztargnieniem. Skręcali za bardzo w prawo i musiała naprowadzić łódź na właściwy kurs.

- Asi? - szepnęła, zdenerwowana przedłużającą się ciszą. Oderwała wzrok od wody i popatrzyła na jego twarz.

- Jeszcze tu jestem, Melanie - powiedział cicho. Odetchnęła z ulgą i zaczęła znów wiosłować.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lekarz delikatnie szturchnął ją w ramię. Obudziła się natychmiast i szybko wyprostowała na krześle. Czuła tępy ból w mięśniach. Siwowłosy człowiek w białym kitlu uśmiechnął się współczująco.

- Wygląda pani gorzej niż Benjamin - powiedział z troską. -
Naprawdę nic pani nie dolega?

- Jak on się czuje? - spytała. - Czy trzeba go przewieźć samolotem do Miami?

Strażnik z rezerwatu, widocznie znajomy Benjamina, był równie przejęty jego stanem jak ona. Zawiózł ich do najbliższej prywatnej kliniki, której wyposażenie pozwalało na przeprowadzenie większości zabiegów, z wyjątkiem bardzo poważnych operacji. Gdyby zaszła taka konieczność, postanowili przetransportować Bena do szpitala w Miami.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał ją lekarz. - Wystarczyło dziesięć szwów, by zamknąć ranę. Wstrząs jest łagodny. Zatrzymamy go dzień lub dwa. W najgorszym przypadku będzie miał silny ból głowy przez najbliższy tydzień. Prawdę mówiąc, pani bardziej mnie martwi...

- Nic mi nie jest - upierała się Melanie. - Po prostu zmęczenie.

- W takim razie proszę wracać do domu i natychmiast iść do łóżka. Jutro może go pani zobaczyć. Czy ktoś panią odwiezie?

- Strażnik z parku czeka na zewnątrz, na przystani. Panie doktorze... - Zawahała się. - Chodzi o to, że ja jutro wyjeżdżam do Tallahassee... Czy mógłby pan powiedzieć Benjaminowi... - Zawiesiła głos. Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Westchnęła ciężko i zmusiła się do uśmiechu. - Proszę mu powiedzieć: do widzenia.

- To wszystko? - Zdziwiony uniósł krzaczaste brwi. - Tylko do widzenia? Z tego, co bredził, kiedy mu zszywałem głowę, wynikało, że...

- Tylko do widzenia - zapewniła go pośpiesznie. Wstała i z trudem powlokła się do wyjścia. Jeszcze raz spojrzała na lekarza. - Dziękuję, doktorze. Dziękuję, że pan się nim zajął.

Kiedy miała pchnąć duże, szklane drzwi, spostrzegła w nich swoje odbicie. Stała. Mój Boże! Nic dziwnego, że strażnik patrzył na nią tak podejrzliwie, gdy wpadła do jego kwatery. Zapewne lekarz też był święcie przekonany, że tylko osoba ciężko chora może tak wyglądać.

Jej warkocz przypominał smętny mysi ogonek. Podkoszulek i spodnie były brudne, a skóra poplamiona błotem albo zielona od rzęsy. Patrzcie na kwiat kobiecości Południa - mruknęła do siebie, otworzyła szeroko drzwi i wyszła na zewnątrz, gdzie powitał ją wilgotny, gorący wieczór, typowy dla Florydy.

Strażnik z ulgą przyjął wiadomość, że Benjaminowi nie grozi nic złego.

- Trzeba więcej niż małego uderzenia w głowę, by na dłużej powalić starego Bena - powiedział szorstko, ale jego głos zdradzał, jak bardzo się martwił.

Do kwatery popłynęli łodzią, a stamtąd pojechali jeepem do chaty Cage'a. Melanie spała prawie całą drogę.

- Chcesz tu nocować? - Wyrzał przez okno samochodu na pograżony w ciemnościach dom. - Mogę cię zawieźć do jakiegoś motelu...

Wzruszona jego troską, miała ochotę zarzucić mu ramiona na szyję i pocałować. Stwierdziła jednak, że z takim wyglądem i zapachem wyświadczy mu dużą grzeczność, jeśli tego nie zrobi.

- Dziękuję, ale zostanę tutaj. - Uśmiechnęła się i uścisnęła jego dłoń.
- Mógłbyś jednak coś dla mnie zrobić. Gdybyś odwiedził Benjamina...

- Jasne, że go będę widział. Jutro mam zamiar wpaść do kliniki.

- Powiedz mu, że pożyczyłam jeepa, by dojechać na lotnisko. Rano mam samolot.

- Co za problem? Odbiorę go z kliniki, kiedy lekarz powie, że może już iść do domu, i wtedy obaj pojedziemy po samochód. Zaparkuj go na północ od budynku z blachy falistej. Ben zawsze go tam zostawia, kiedy gdzieś leci.

Wyrzała w ciemność, odetchnęła głęboko, po czym wysiadła z samochodu. Zamknęła drzwi i nachyliła się do bocznego okienka.

- Dziękuję. Za wszystko.

- Słuchaj, Melanie, weź to. - Podał jej ciężką metalową latarkę. - Będzie ci potrzebna, żeby w ogóle znaleźć lampy w chacie, a co dopiero je zapalić. Uważaj na siebie. Do zobaczenia.

Obserwowała światła reflektorów, podskakujące i drgające na tle czarnego lasu. Po chwili zniknęły. Cykady i żaby wróciły do swojej symfonii, którą przerwało wycie silnika. Stała, przysłuchując się kojącej muzyce przyrody. Raptem kąciki jej ust uniosły się w triumfalnym uśmiechu. Oto była całkowicie sama, nocą, na zupełnym odludziu i nie czuła strachu.

Beau czekał na płycie lotniska, gdy mały samolot kołował po lądowaniu. Wyglądał elegancko i świeżo w lekkim lnianym garniturze z przyklejonym jak zwykle uśmiechem, który rozjaśniał twarz opaloną na właściwy odcień brązu. Melanie zobaczyła go przez okno. Wyglądał dokładnie tak samo jak dawniej, podczas gdy przecież wszystko się

zmieniło. Odniosła wrażenie, że patrzy na kogoś, kogo znała przelotnie, i to bardzo dawno temu.

Miała za niego wyjść za mąż. I pewno by wyszła. Urodziłaby mu dzieci i spędziła resztę życia przekonana, że tak właśnie powinno być. Ta myśl zmroziła ją do głębi. Spojrzała na cienką broszurę, którą trzymała na kolanach. Dowiedziała się z niej niemal tyle samo o Beauregardzie Parkerze, co o gospodarce wodnej w parku Everglades.

Świst sprężonego powietrza uświadomił jej, że otworzyły się drzwi samolotu. Westchnęła ciężko i wstała. W jednej dłoni ścisnęła torebkę, a w drugiej broszurę. Zabrała ją z chaty Cage'a. Chyba nie będzie miał pretensji. Czy pochwali to, co zamierzała zrobić?

Jej opaleniznę tonowała cienka warstwa pudru. Wyglądała zupełnie tak samo jak kobieta, która wsiadała do samolotu parę dni temu. Jej granatowy kostium z białymi lamówkami był wzorem klasycznej elegancji. Fale świeżo umytych włosów połyskiwały w słońcu. Błękitne lśniące oczy dodawały jej uroku. Jednak było to tylko opakowanie. Czy Beau domyśli się, że widzi jedynie pozory, a kobieta w środku jest zupełnie inna?

- Mellie! Kochanie!

Stał u stóp metalowych schodków. Uśmiechnięty patrzył, jak schodziła. Zza bramy lotniska błysnęły flesze reporterów, którzy chcieli uwiecznić tak wzruszający moment. Na widok zwartego tłumu dziennikarzy zrobiło jej się słabo.

- Cześć, Beau! - Pocałunek jego zaciśniętych suchych ust wywołał w niej odrazę.

- Melanie, kochanie, twój widok jest zawsze ukojeniem dla zboląłych oczu - szepnął jej do ucha. Jednocześnie otoczył ją ramionami. Kolejny raz błysnęły flesze. - Nie zwracaj na nich uwagi - oznajmił, zarazem szczerząc zęby do ludzi, których kazał jej ignorować. - Załatwimy parę pytań i już nas nie ma.

- Będą chcieli się dowiedzieć, z czym przyjechałam, Beau.

- Ja ich o wszystkim poinformuję, kochanie, jutro, na mojej konferencji prasowej. Nie kłopotz tym swojej maleńkiej, pięknej główki. Powiedz tylko, że było bardzo przyjemnie, złotko.

Zacisnęła zęby. Nie mogła znieść tak otwarcie okazywanego lekceważenia. Czy zawsze ją tak traktował, a ona tego nie zauważała, czy też kiedyś po prostu jej to nie raziło? Pozwoliła poprowadzić się w stronę tłumu oczekujących reporterów. Włączono reflektory i kamery wideo. Zewsząd padały pytania. Większość z nich była zupełnie niepoważna. Czy widziała aligatora? Czy płynęła poduszkowcem? Wpadła w rozpacz, że nie uda jej się wygłosić krótkiego przemówienia, które przygotowała. Raptem ponad inne wybił się jeden głos.

- Jakie dowody przedstawił Benjamin Cage na to, że cięcia budżetowe przyniosą rezerwatowi nieodwracalne szkody?

Spojrzała w poważne, ciemne oczy dziennikarza. Jeszcze się wahała. Ta odpowiedź mogła całkowicie odmienić jej życie.

- Przedstawił bardzo przekonujące dowody - powiedziała w końcu.

Natychmiast zapadła grobowa cisza. Reporterów zdumiała nie tyle jej stanowczość, ile sam fakt, że się w ogóle odezwała. Beau był jeszcze bardziej zaskoczony. Zesztywniał i mocno zacisnął palce na jej ramieniu.

Jednak dyżurny uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Odchrząknęła nerwowo. Przyszło jej do głowy, że pływanie w sadzawce pełnej węży i aligatorów jest mniej niebezpiecznym przedsięwzięciem niż to, co zamierzała zrobić.

- Wielu z was może nie zdaje sobie sprawy, skąd czerpie wodę cała południowa Floryda. Otóż z parku Everglades... - zaczęła cicho. - Ja o tym nie wiedziałam. Park produkuje deszcz i działa jak olbrzymi filtr, oczyszczający wodę, która napływa do studni. Nie wiedziałam też, że niszczy ten filtr, osuszając zbyt wiele terenów. A wy wiedzieliście? - Jej wzrok powędrował po twarzach słuchaczy. - Codziennie biliony litrów wody są kierowane na północ do olbrzymich prywatnych farm. Chemikalia, które z nich spływają, trują rezerwat hektar po hektarze. - Usłyszała, że Beau głęboko nabiera powietrza. Dokończyła więc bardzo szybko. Słowa niemal zlewały się z sobą. -Jeżeli tego nie powstrzymamy, zniszczymy nie tylko park, ale nasze zasoby czystej wody. Wszystko wyjaśnia ta broszura.

Podniosła sprawozdanie, by każda z kamer mogła je sfilmować. Słyszała ich szum, a gdzieś w oddali warkot odrzutowca, który podchodził do lądowania. Poza tym panowała cisza.

- Jestem pewna, że gdy tylko kongresmen Parker przeczyta to opracowanie, będzie chciał, by zapoznał się z nim każdy z was.

Cisza przeciągała się w nieskończoność. Raptem, jakby na umówiony sygnał, tłum dziennikarzy ożył. Wszyscy krzyczeli naraz. Chcieli wiedzieć, gdzie można dostać raport, dlaczego nie został opublikowany i co kongresmen zamierza teraz zrobić.

Uśmiech przygasł na twarzy Beau. Dostojnymi ruchami dłoni usiłował uspokoić zebranych.

- To na razie wszystko. Panna Brooks musi odpocząć.

Przepraszamy... przepraszamy...

Prowadził Melanie przez ciżbę reporterów. Jego dłoń z niespotykaną siłą ścisnęła jej przedramię. Otworzył drzwi oczekującej limuzyny i po chwili opadł na pluszowe siedzenie obok niej.

- Do hotelu panny Brooks - polecił kierowcy. Cały czas machał przyjaźnie do tłumu.

Gdy samochód wjechał na autostradę, gwałtownie wcisnął guzik, który sterował szybą, oddzielającą szofera od pasażerów. Obrócił się twarzą do Melanie. Był czerwony jak burak. Zauważyła naprężone żyły po obu stronach jego szyi.

- Skąd, do diabła, wzięłaś to sprawozdanie?! - wrzasnął.

Po raz pierwszy widziała mężczyznę, który krył się za uprzejmym uśmiechem i dworskimi manierami. Prawda napawała ją smutkiem.

- Cage mi je dał... a właściwie sama wzięłam. Byłam pewna, że go nie masz. Ale myliłam się. Już dawno je przeczytałeś.

- Tak. To stek bzdur! - Wyrwał jej broszurę z dłoni i rzucił na siedzenie.

- Dobrze wiesz, że jest tam lista właścicieli tych olbrzymich farm, które zabijają Everglades - mówiła spokojnym, beznamiętnym głosem, - Wszyscy byli na naszym przyjęciu zaręczynowym. Wszyscy... To oni sfinansowali twoją kampanię wyborczą. Dzięki nim zostałeś wybrany. W rewanżu zgodziłeś się walczyć o te cięcia w budżecie, tak? Nie wystarczyłoby wtedy pieniędzy na takie badania, jak te, które tu opisano.

Nikt nie wiedziałby, że życie w Everglades powoli zamiera, a portfele paru bogatych facetów coraz bardziej puchną.

- Nie wtrącaj się do spraw, których nie rozumiesz. - Jego piękne, arystokratyczne rysy skaziło coś nieprzyjemnego, odpychającego. - Nie ciekawi mnie, co zaszło na tym zapomnianym przez Boga bagnie, ale cokolwiek to było, po prostu zapomniałaś, gdzie jest twoje miejsce. Nie pozwolę, by moja żona bez zastanowienia opowiadała dziennikarzom to, co myśli...

- Lubię wygłaszać własne opinie, Beau - przerwała mu z dziwnym uśmiechem na twarzy. - Nie myślałam, że tak będzie, ale bardzo to polubiłam. W przyszłości na pewno będę to robiła częściej.

- Nie jako moja żona!

- Nie jako twoja żona... - zgodziła się. Najbardziej wyprowadzał go z równowagi jej uśmiech.

Limuzyna zatrzymała się pod hotelem. Nic więcej już sobie nie powiedzieli, jakby rozumieli, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Ich związek po prostu przestał istnieć. Jego ostatnie chwile były równie pozbawione namiętności, jak i wszystkie inne, przypadające na jego największy rozkwit.

Beau nie zapomniał o dobrych manierach. Obszedł dookoła samochód, by otworzyć jej drzwi. Czekaając na niego, wyciągnęła broszurę spomiędzy dwóch siedzeń i włożyła ją do torby.

Wieczorem tego samego dnia każdy dziennikarz prasowy i telewizyjny miał swój egzemplarz sprawozdania z dołączoną kartką: „Od Melanie Annabelle Brooks”. Na wszystkich złożyła zamaszysty podpis. Nareszcie była dumna z własnego nazwiska.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tego wieczora wszystkie stacje telewizyjne zamieściły w programie długie sprawozdania na temat nowego studium, dotyczącego gospodarki wodnej w Everglades. Melanie parokrotnie obejrzała swoje wystąpienie na lotnisku. Jak na ironię, podkreślano zasługi kongresmena Beauregarda Parkera, który przyczynił się do ujawnienia społeczeństwu tak bulwersujących wyników badań. Dziennikarze chwalili go za to, że „wysłał własną narzeczoną, aby wyszperała informacje, które inni usiłowali ukryć”.

Była wstrząśnięta patrząc, jak Beau bez wahania przywdział płaszcz szlachetnego bohatera, kiedy okazało się, że to, co próbował zatuszować, przynosi mu poklask. Przyznał, że farmy, krytykowane w sprawozdaniu, finansowały jego kampanię wyborczą. Z pewnością utraci ich poparcie teraz, gdy opublikowano ten raport. Jednak jego moralnym nakazem było przedstawienie wyborcom prawdy, nawet jeśli musiałby poświęcić swoją karierę.

Melanie wzniosła oczy do góry i wyłączyła telewizor.

Miała ochotę zdemaskować Beau, wytknąć jego oszustwa i służalczość. W tej chwili jednak brakowało jej na to odwagi. Może pewnego dnia będzie na tyle silna, by wystąpić nie tylko przeciwko niemu, ale i innym podobnym politykom? Kto wie, czy sama nie zaangażuje się w politykę? Spróbuje wtedy kandydować na jakiś urząd. Ale jeszcze nie teraz.

Nareszcie zrealizowała swoje marzenie o długiej kąpieli w pachnącej wodzie pełnej piany. Gdy położyła się w wannie i zamknęła oczy, ujrzała

twarz Cage'a. Usiadła szybko, chlapiąc na posadzkę. Raptem stwierdziła, że powinna raczej wziąć prysznic i wyjęła korek. Gdy ostatnie bąbelki wirowały wokół odpływu, stała już pod strumieniami gorącej wody. Wtedy przypomniała sobie ważkę o tęczowych skrzydłach.

- O cholera! - zaklęła cicho.

Zakryła twarz dłońmi. Prześladowały ją głębokie, ciemne oczy Cage'a. Oparła się o kafelki, zsunęła po ścianie i usiadła na dnie wanny, obejmując kolana. Gorący prysznic opłukiwał jej ciało.

Dużo później, kiedy za oknem widać było pierwsze oznaki świtu, skulona na łóżku zadzwoniła do kliniki. Pan Cage odpoczywał, zapewniła ją rozespana pielęgniarka. Czy ma mu coś przekazać?

Melanie odłożyła słuchawkę i oparła się o stos poduszek. Przed oczami miała szerokie plecy w czarnym podkoszulku, które coraz bardziej się od niej oddalały.

Następnego dnia o zmierzchu była już przygotowana do wyjazdu z Tallahassee. Obudziła się późno po południu w złym nastroju, zmęczona, z podpuchniętymi od płaczu oczami. Przez rozsądek zjadła firmowy lunch, który przyniesiono do pokoju. Potem pakowała się z przesadną dokładnością. Sprawdzała, czy wzięła wszystkie drobiazgi, czy starannie złożyła ubrania. Nie chciała dopuścić do siebie myśli o pustce, w jakiej teraz będzie żyła. Nie miała żadnych planów, żadnego celu. Chciała tylko opuścić to miasto i związane z nim wspomnienia o kobiecie, którą nie tak dawno była. Wspomniała swój rodzinny dom w Creek County. Nie chciała tam jechać, ale było to jedyne miejsce, do którego mogła wrócić.

W końcu stanęła nad walizką, leżącą na łóżku. Już mogła zamknąć jej wieko. W środku były wszystkie ubrania, kupione przez Cage'a w sklepie Hildy. Służba hotelowa uprała je, wyprasowała i złożyła.

Uśmiechnęła się smętnie. W wyniku tych starań płócienne spodnie miały eleganckie, ostre kanty. Wystawały spod nich zaokrąglone noski niezgrabnych kaloszy. Zastanawiała się, co pomyślą sobie jej potomkowie, gdy znajdą te ubrania skrzętnie przechowywane na strychu.

Przesunęła dłonią po podkoszulku, który nosiła ostatniego dnia w parku, po czym rzuciła okiem na lustro. Ze zdumieniem odkryła, że wszystko spakowała, a sama stoi w kwiecistym szlafroku.

Rozbawiona własnym roztargnieniem, szybko włożyła jedną z za dużych koszul i płócienne spodnie. Nie miało znaczenia, w jakim stroju będzie podróżować. Wynajęła samochód i nikt jej nie będzie widział. Zresztą nieważne, czy ktoś ją zobaczy. Patrzyła na swoje odbicie i czesała włosy w koński ogon. Podobała się sobie w tym ubraniu. Przypominało jej, kim była, oraz trzy najwspanialsze w jej życiu dni, które na zawsze zachowa w pamięci.

Zamknęła walizkę i zadzwoniła po boya, by zniósł ją na dół.

Po chwili, ku jej zaskoczeniu, boy zaczął głośno walić w drzwi. Do tej pory unizoność pracowników hotelu wprawiała ją w zażenowanie. Teraz boy bez wątpienia dobijał się pięścią. Zdenerwowana pobiegła, by mu otworzyć. Ostre uwagi, którymi chciała go zganić, zamarły na jej ustach.

W drzwiach stał Cage. Wiele wysiłku wkładał w to, żeby trzymać się prosto. Ubrany był w nieskazitelnie białą koszulę, rozpiętą pod szyją, i

wyblakłe, błękitne dzinsy. Wyglądał, jakby chciał włożyć garnitur i zmienił zdanie w ostatniej chwili. Bandaż okalał jego głowę.

Czarne włosy rozrzucił wiatr. Pojedyncze pasma zwisały na opatrunek.

- Przecież jesteś w klinice - zaczęła bez sensu. - Miałeś tam być jeszcze dzień lub dwa. Dlaczego cię wypuścili?

- Nie wypuścili mnie.

- Ale...

- Widziałem cię w telewizji. W kółko powtarzali to twoje przemówienie na lotnisku... Zrezygnowałaś ze wszystkiego, Melanie...

Nic nie rozumiejąc, zmarszczyła brwi i przechyliła głowę. Koński ogon zwieszał się filuternie na jedno ramię.

- Beau... - tłumaczył. - Twoje małżeństwo... wszystko... po prostu odrzuciłaś.

- Ach, o to chodzi.

- Tak o to.

- Pani walizki? - spytał grzecznie boy, który dopiero teraz pojawił się za plecami Cage'a.

- Później - mruknął Cage, nawet nie odwracając głowy. Patrzył na nią jeszcze przez chwilę. - Lepiej zaproś mnie do środka. I tak nie odejdę, póki nie powiem, po co przyjechałem.

Spojrzała na swoją dłoń, nadal zaciśniętą na klamce, jakby tylko dzięki niej mogła utrzymać się w pozycji stojącej. Wiedziała, co ją czekało. Wysłucha podziękowań za swoją dzielną postawę. Niewątpliwie kierowały nim szlachetne motywy, ale wątpiła, czy zdoła przetrwać tę rozmowę.

Co miała robić? Uśmiechać cię z wdziękiem, kiedy będzie prawil komplementy, udawać, że jej na nim nie zależy? Powinna raczej poprosić go, by wyszedł, nie patrzeć na jego twarz i nie narażać się na ból.

- Melanie?

- Wejdz - wymamrotała. Cofnęła się i zamknęła oczy. Czuła powiew powietrza wywołany jego ruchami. Już to wystarczyło, żeby ogarnął ją niepokój.

- Chodź tutaj, Melanie.

Szybko otworzyła oczy. Stał przy fotelach, a ona nadal tkwiła w drzwiach, jakby spodziewała się następnych gości. Puściła klamkę. Podeszła do niego jak drewniana kukła.

- Wyjeżdżasz z Tallahassee? - spytał. Zaciekawionym spojrzeniem obrzucił jej obszerną koszulę i płócienne spodnie z zaprasowanymi kantami.

- Tak. Wracam do domu. Do Creek County - powiedziała, zastanawiając się, czy Cage widzi, jak bliska jest załamania.

W myślach dodała, że niczym nie różni się od swojej poprzedniczki. Kobiety z rodziny Brooksów krążyły ciągle po tym samym kole, nigdy go nie zamykały i zawsze wracały do Creek County.

Pokiwał głową i wyjrzał przez okno. Było już zupełnie ciemno. Światła miasta tworzyły nieregularny wzór na czarnej pustce. Biel opatrunku odcinała się od jego głowy.

- Jak twoja rana? - spytała.

- W porządku - oznajmił niespodziewanie zimnym głosem.

- Nie powinieneś był opuszczać kliniki...

- A ty nie powinnaś była wskakiwać do tego bajora! - huknął nagle z całej mocy, aż się cofnęła.

- Mogłaś to przypłacić życiem! Dlaczego nie poszłaś na piechotę do strażników? Dlaczego, do cholery, nie czekałaś, póki ja?...

- Dlatego! - wrzasnęła bezradnie. Tylko krzycząc mogła powstrzymać łzy. - Bo byłeś ranny! Bo myślałam... Bo myślałam, że umierasz!

- Do cholery, a gdybyś ty zginęła?! - Odrzucił włosy z czoła. - Czy myślisz, że chciałbym żyć w świecie, w którym nie ma ciebie?!

Bała się poruszyć. Bała się coś powiedzieć. Bała się, że nawet jej oddech zniszczy cię nadziei, która się raptem pojawiła.

- Nie chciałem zakochać się w tobie. Nie chciałem nigdy tak kochać kobiety, żeby jej odejście oznaczało koniec mojego życia... I zobaczyłem ciebie na płycie lotniska. Wtedy zrozumiałem. Mogłaś być kobietą, którą tak bym kochał, ale nigdy nie należałabyś do mnie. W końcu odeszłabyś... I nawet wiedząc to wszystko, nic nie mogłem poradzić. Próbowałem ci wytłumaczyć, że miłość jest jedyną rzeczą, której ci nie mogę dać, ale prawdę mówiąc już ci ją dałem. Rano, po wspólnie spędzonej nocy, byłem na tyle szalony, by mieć nadzieję, że zostaniesz ze mną. Prawie się załamałem, kiedy nic o tym nie wspomniałaś.

Odetchnęła z ulgą. Już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał ją ruchem ręki.

- Nie musisz nic mówić. Od początku wiedziałem, że różnimy się tak bardzo, jak tylko dwoje ludzi może się różnić. Jak nasi przodkowie. Przeżyłaś ze mną swoją pierwszą przygodę. Właściwie to nawet zabawne. Miałaś być jedną z tych staroświeckich, bezradnych, zależnych od innych

panienek z Południa, ale byłaś silna na tyle, by odrzucić własną przyszłość dla tego, co uznałaś za słuszne, by ryzykować własnym życiem i uratować cudze. - Przerwał na chwilę, po czym Melanie usłyszała największą pochwałę, jaką mogła otrzymać w życiu. - Byłaby z ciebie dumna, wiesz? Pierwsza Melanie Annabelle Brooks byłaby dumna z tego, że nosisz jej nazwisko.

Stała przytłoczona tym, co mówił. Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Zresztą nie wiedziała, jak wyrazić swoje uczucia zwykłymi, prostymi słowami. Jak zareagować, gdy ktoś ofiarował jej zamianę próżni, w której żyła, na świat pełen miłości i tym samym nadawał sens jej życiu?

- Cage! - W końcu odzyskała głos. Stał już z dłonią na klamce. - Dowiem się, gdzie mieszkasz. Jeśli teraz wyjdiesz i tak cię znajdę. Nawet gdybym musiała całymi dniami obozować w tej twojej marnej chacie, zostanę tam i poczekam, aż wrócisz.

Odwrócił powoli głowę. Z odległości, w której stała, nie widziała, co kryją jego oczy. Nie musiała zgadywać. Wiedziała o tym chyba od stu lat.

- Słucham? - spytał cicho.

- Znajdę cię - odgrażała się silniejszym głosem, choć łzy ciurkiem płynęły jej po policzkach. - Znajdę cię, bo jestem staroświecką damą z Południa, a one chcą wyjść za mąż, mieć dzieci i... Asi... chcę, żeby były twoje.

Ruszył szybkim krokiem w jej stronę. Nagle zawahał się. Po raz pierwszy na jego dumnej twarzy widziała jakieś uczucia. Wyglądał na człowieka, który obawia się uwierzyć w to, w co chce uwierzyć. Nie mógł zapomnieć, że miłość niekiedy oznacza rozczarowanie i ból. Po chwili

jego rysy złagodniały. Przyglądał się jej, jakby chciał na zawsze zapamiętać ten moment.

- Zamówimy u malarza twój portret - szepnął. - Musisz wyglądać dokładnie tak, jak teraz. Powiesimy go koło jej portretu. Nasze wnuki będą ciągle miały przed oczami oba portrety... - Przerwał i popatrzył na jej workowate spodnie i dużą koszulę. - Dlaczego włożyłaś to ubranie, Melanie?

- Uwielbiam je. Chyba nigdy go nie zdejmę.

- Chcesz się założyć?

- Kocham cię, Asi - szepnęła, gdy brał ją w ramiona.

O szybę bębniły pierwsze krople letniego deszczu.